



# *Caitlin Crews*



*Nowojorska skandalistka*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szczęście opuściło Larissę Whitney z głośnym trzaśnięciem drzwi w pewien wietrzny i deszczowy listopadowy wieczór.

Odwróciła wzrok od mokrej szyby okna, za którym groźne fale szarego Atlantyku rozbijały się z hukiem o skaliste wybrzeże samotnej wyspy Maine, i popatrzyła bez szczególnego zainteresowania w kierunku drzwi. Siedziała w małej gospodzie - jedynym lokalu w jedynej tutejszej osadzie. Przyjechała kilka dni temu na to odludzie w poszukiwaniu samotności i jak dotąd się nie zawiodła.

Lecz teraz, oczywiście, zjawił się właśnie on.

Poczuła nerwowy skurcz żołądka na widok mężczyzny stojącego w drzwiach, a potem zamrugała, jakby miała nadzieję, że to tylko zjawa, która zniknie z powrotem w otchłani jej pamięci. Ale nie: Jack Endicott Sutton wszedł do środka, zdjął zniszczony płaszcz przeciwdeszczowy i powiesił go na wieszaku.

- Och proszę, każdy, tylko nie Jack Sutton - szepnęła do siebie Larissa i zacisnęła palce na kubku z kawą.

Ale to był on, nikt inny.

Rozpoznałaby wszędzie te bystre czarne oczy, urodziwą męską twarz i wysoką, szczupłą, muskularną sylwetkę. Pamiętała go jeszcze w koszulce uniwersyteckiej drużyny rugby w Yale, a także z późniejszych czasów, kiedy studiował prawo na Harvardzie.

Tego wieczoru miał na sobie zwykły czarny podkoszulek z długim rękawem, stare, znoszone dżinsy i ciężkie buciory, chociaż kiedy przebywał w swoim naturalnym żywiole pośród śmietanki towarzyskiej Manhattanu, nosił zazwyczaj garnitury od Armaniego. Lecz teraz nawet to niepozorne ubranie nie upodobniło go do wypełniających bar mieszkańców wyspy.

Wyróżnia się jak zawsze i wszędzie, pomyślała Larissa i serce zabiło jej mocno. Liczne pokolenia świetnych przodków sprawiły, że Jack Endicott Sutton był kimś o wiele więcej niż tylko oszałamiająco przystojnym brunetem. Traktował swoje dziedzictwo z całkowitą nonszalancją, niczym potężny oręż, którym nie musi wymachiwać na pokaz. Mimo to emanował groźną, władczą aurą pewności siebie graniczącej z arogancją. W

ciągu ostatnich dwóch wieków jego rodzina wydała magnatów przemysłowych, politycznych przywódców i wizjonerów, sławnych filantropów i obrotnych inwestorów giełdowych - a on był ich nieodrodnym potomkiem.

Larissa знаła go dobrze, gdyż wywodziła się z tej samej wyższej sfery. Lecz dla niej Jack Sutton był też najgorszym koszmarem, od którego nie zdołała uciec nawet tutaj, na końcu świata.

Nie było sensu wpadać w histerię. Zgarbiła się i naciągnęła na głowę kaptur swetra, jakby chciała skryć się przed wszystkimi znajomymi i przed całym swoim popapranym życiem.

Zmusiła się, by odwrócić wzrok od tego najbardziej wziętego kawalera na Manhattanie z powrotem ku wzburzonemu oceanowi. Pocieszała się, że Jack prawdopodobnie jej nie pozna. Opuściła Nowy Jork przed kilkoma miesiącami, nie informując, dokąd się udaje, a nikt nawet by nie podejrzewał, że trafiła na tę zapomnianą wysepkę, tysiące mil od najbliższego pięciogwiazdkowego kurortu wypoczynkowego, ubrana w wytarte dżinсы i sweter i nawet nieumalowana. W dodatku przed wyjazdem skróciła swe słynne długie blond włosy i przefarbowała je na czarno. Wszystko po to, żeby nikt jej nie rozpoznał - nawet Jack Sutton, upiór z jej dawnego pogmatwanego życia.

Miała jednak niepokojące przeczucie, że jego nie uda się zwieść. Czyż już wcześniej się o tym nie przekonała? Właśnie dlatego widok Jacka tak bardzo ją zdenerwował.

Poleciała sobie oddychać głęboko, tak jak nauczył ją lekarz w Nowym Jorku. Oddychaj. Jack w ogóle cię nie zauważy, a nawet jeśli tak, nie przyjdzie mu do głowy, że to może być...

- Larissa Whitney.

Jego chłodny cichy głos z lekką nutą rozbawienia musnął ją jak pieszczota, a potem wniknął w nią i wstrząsnął do głębi.

Oddychaj.

Lecz nie potrafiła, gdyż z wrażenia zaparło jej dech.

Mężczyzna, nie czekając na zaproszenie, usiadł naprzeciwko. W jego oczach błysnęło coś, co obawiała się nazwać, gdy w końcu ośmieliła się na niego spojrzeć.

Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie właśnie on musiał się tutaj zjawić? Co go tu sprowadziło? Oto znalazła się na tej surowej skalistej wyspie z człowiekiem, który zbyt dużo o niej wie. Zawsze wiedział. Dlatego tak ją onieśmielał i budził w niej lęk.

Nagle zapragnęła udać kogoś innego. „Nie znam żadnej Larissy Whitney”. Mogłaby wyprzeć się siebie i w ten sposób uwolnić się od ciężkiego brzemienia przeszłości.

Nie odważyła się jednak na to, gdy przeszywał ją przenikliwym wzrokiem. Zamiast tego rzuciła mu wymuszony zdawkowy uśmiech, który udoskonaliła już w kołysce. Znacznie później ktoś zwrócił jej uwagę, że uśmiech powinien obejmować także oczy - ale mu nie uwierzyła.

- Przyznaję się do winy. Tak, to ja - odrzekła beztrąsko, jakby pojawienie się tego silnego, władczego mężczyzny nie wywarło na niej żadnego wrażenia.

Wciąż utrzymywała na twarzy ten uśmiech - równie pusty jak ona sama.

- Co za niespodzianka - powiedział wyzywającym tonem z odcieniem chłodnej pogardy. - Ale nie widzę tu tłumu paparazzich, setek jachtów w porcie ani nocnych klubów pełnych bogatych i śmiertelnie znudzonych turystów. Czy przypadkiem nie pomyliłaś kamienistej plaży wyspy Maine z wybrzeżem południowej Francji?

- Ja też jestem zachwycona, że cię widzę - mruknęła sarkastycznie. - Ile to lat minęło? Pięć? Sześć?

- Co ty tu robisz, Larisso? - spytał ostro.

- Czyż nie mogę wybrać się na krótkie wakacje? - rzuciła lekko, maskując niepokój.

- Ale nie do takiej zapadłej dziury z jednym sklepem wielobranżowym, gospodą i paruset mieszkańcami. Prom kursuje stąd tylko dwa razy na tydzień, o ile nie przeszkodzi mu sztorm. - Skrzywił się posępnie. - Nie ma żadnego powodu, żeby znalazł się tutaj ktoś taki jak ty.

- Za to mieszkańcy są bardzo gościnni - rzuciła sucho.

Odchyliła się do tyłu na krześle, usiłując pojąć swoją skomplikowaną reakcję emocjonalną na widok Jacka. Znała go niemal od urodzenia. Oboje dorastali w tym samym wąskim kręgu nadzwyczaj bogatych nowojorczyków. Chodzili do tych samych prywat-

nych szkół, a później do elitarnych college'ów. Odwiedzali te same modne, wytworne miejsca: Aspen, Hamptons, Miami, Martha's Vineyard.

Natykała się na niego często jako nastolatka, a także później, w wieku dwudziestu paru lat na szalenie wytwornych przyjęciach. Z tamtych czasów zapamiętała go jako beztroskiego, olśniewająco przystojnego i obdarzonego błyskotliwą inteligencją.

Obecnie nie było w nim niczego z tamtego młodego lekkomyślnego mężczyzny. A Larissa miała również inne, późniejsze wspomnienia związane z Jackiem Suttonem, które najchętniej wyparłaby z pamięci. Zrozumiała wtedy, że jego zniewalający urok jest szczególnie niebezpieczny właśnie dla niej.

W przeszłości zafascynował ją, a potem przeraził. Lecz to zdarzyło się, zanim przeżyła swoje małe prywatne oświecenie i zyskała drugą szansę. I oto teraz pojawienie się Jacka Suttona groziło zniszczeniem tego wszystkiego, niczym eksplozja bomby. On był nieopanowany i nieobliczalny, a to i tak jego lepsze cechy.

Larissa usiadła wygodniej i przybrała swobodną pozę. Odruchowo udawała niefrasobliwość, gdyż właśnie tego się po niej spodziewał. Czasami zastanawiała się, czy idealne dostosowywanie się do oczekiwań świata nie jest jej jedynym prawdziwym talentem.

- Czy ukrywasz się w przebraniu? - zapytał Jack zniewalająco miękким głosem, który przejął ją zmysłowym dreszczem. Jednak zatuszowała to, udając znużenie. - A może przed czymś uciekasz? Jaką fantastyczną rolę tutaj odgrywasz?

- Dlaczego tak cię to interesuje? - rzekła z lekkim śmiechem. - Obawiasz się, że ta rola ma związek z tobą?

- Wręcz przeciwnie - odparł szorstko, mierząc ją ostrym spojrzeniem, jakby go czymś uraziła.

- Słyszałam, że na wyspie Maine jest o tej porze roku uroczko - wyjaśniła.

Wskazała głową okno, za którym wicher gnał po ciemniejącym niebie ciężkie burzowe chmury. Deszcz zacinał w szyby, a w dole potężne fale rozbijały się z hukiem o skalisty brzeg.

- A ja słyszałem, że masz za sobą burzliwy rok - zripostował.



Larissa poczuła się straszliwie bezbronna. Starła się za wszelką cenę unikać takich sytuacji, zwłaszcza wobec tego mężczyzny po tym, co się ostatnio między nimi wydarzyło. A najgorsze, że nie mogła się bronić, wyjawiając mu prawdę. Musiała zaakceptować fikcję oraz fakt, że wszyscy ochoczo w nią uwierzyli. Dlaczego tym razem tak bardzo ją to zraniło? Przecież to tylko jeszcze jeden więcej skandal, nieprawdaż?

- Owszem - przyznała. - Krótki okres resocjalizacji, zerwane głupie zaręczyny. Dzięki, że mi o tym przypominałeś - dorzuciła zgryźliwie.

Co mogła powiedzieć? „To nie byłam ja. Leżałam w śpiączce, a w tym czasie pewna kobieta podszyła się pode mnie i odbiła mi narzeczonego”. Wykluczone! Jej życie nawet bez tych drastycznych, jawnie niewiarygodnych szczegółów przypominało operę mydlaną.

Ostatecznie przecież cały świat wiedział, że Larissa Whitney - pusta, wiecznie imprezująca dziewczyna, źródło nieustannych zmartwień dla swej szacownej rodziny - pewnej nocy osiem miesięcy temu przeżyła załamanie nerwowe przed wytwornym klubem na Manhattanie. Dzięki dociekliwości tabloidów i manipulacjom jej kontrolującej media rodziny, świat dowiedział się również, co rzekomo zdarzyło się później. Larissę umieszczono na pewien czas w prywatnym ośrodku resocjalizacji, a po jego opuszczeniu paradowała po Manhattanie pod rękę ze swym wiernym, cierpliwie znoszącym wszystkie jej wybryki narzeczonemu Theo Markou Garcia, dyrektorem generalnym koncernu medialnego jej rodziny. Potem jednak Theo ją porzucił. Porzucił także - co znacznie bardziej szokujące, zważywszy na jego wybujałe ambicje - firmę Whitney Media. Wszyscy obwinili o to niewierną, pozbawioną serca Larissę. Dlaczego nie? Przecież przez lata nieustannie publicznie raniła i upokarzała swego narzeczonego. Niewątpliwie to ona zawiła.

Prawdziwy przebieg wydarzeń nie był ani w części tak interesujący dla mediów. Larissa nigdy nie trafiła do ośrodka resocjalizacji, lecz przez dwa miesiące w stanie śpiączki walczyła ze śmiercią w szpitalnym łóżku w rodzinnej posiadłości.

Ale Jack i tak by jej nie uwierzył, podobnie jak wszyscy inni. I Larissa, jak zwykle, mogła winić za to tylko siebie.

- Czy nie dość już kłopotów narobiłaś? - spytał, jakby czytał w jej myślach. Z odrazą potrząsnął głową. - Nie licz, że zdołasz mnie wciągnąć w kolejną awanturę. Już dawno temu przejrzałem twoje gierki.

- Skoro tak uważasz - rzuciła z udawanym znudzeniem.

W rzeczywistości miała ochotę zerwać się i uciec jak najdalej od potępiającego spojrzenia Jacka, które zdawało się docierać do jej najbardziej mrocznych wstydlivych sekretów.

Boże, jak nienawidziła tego mężczyzny.

Lecz wolałaby umrzeć, niż okazać mu, że ją zranił. Z pewnością nie mogła wyjaśnić prawdziwych powodów, dla których znalazła się na tym porośniętym sosnami skrawku lądu otoczonym oceanem, osiem mil od Bar Harbour. Nie mogła mu powiedzieć, że od wielu miesięcy usiłuje zniknąć dla świata, stać się niewidzialna. Nawet nie potrafiłaby wyjaśnić, czym jest dla niej ta cudem darowana druga szansa w jej życiu, które dotychczas tak bez troski rujnowała.

Przyrzekła sobie, że już nigdy nie będzie się okłamywać, lecz to nie oznaczało, że podobną szczerą jest winna Jackowi Suttonowi. Dlatego powiedziała mu to, co chciał usłyszeć. A teraz obdarzyła go swoim słynnym tajemniczym, zmysłowym uśmiechem, który doprowadzał mężczyzn do szaleństwa i rozpalał wszystkie ich erotyczne fantazje, podczas gdy ona tylko stała przed nimi, obojętna i pusta. To też świetnie potrafiła.

- A w jakie gierki ty grasz, Jack? - spytała wyzywającym tonem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wyglądała tak krucho i bezbrannie. Jack nie pojmował, co sprowadziło taką delikatną istotę rodem ze śmietanki towarzyskiej Manhattanu na tę surową skalistą wyspę. Urzekły go zielone oczy Larissy, w których krył się wieczny smutek - chociaż wiedział, że wszystko w tej dziewczynie jest kłamstwem, i gardził sobą za to, że daje się nabrać na ten fałsz.

A jednak kiedy zobaczył ją siedzącą przy stoliku, tak dziwnie samotną i zagubioną, mimo woli znów poczuł przyływ pożądania.

Flirtowała z nim teraz, prowokująco rozchylając pełne, zmysłowe wargi. Kusila go, wabiła do siebie. Przypomnił sobie upajający smak jej pocałunków i to, jak zgrabnymi nogami obejmowała jego biodra. Ale nie był już tamtym dawnym mężczyzną, ulegającym swym zachciankom, zwłaszcza tak destrukcyjnym. Wiedział, jak niewiele kobieta tego rodzaju ma do zaoferowania komuś takiemu jak on, kto obecnie przedkłada swą społeczną reputację nad łatwe przyjemności.

- Nie próbuj znów mnie zwodzić - odparł lekceważąco, jakby jej widok nie pobudził jego zmysłów. - Jeden raz w zupełności mi wystarczył.

Uśmiechnęła się do niego. Ten niebezpieczny, zagadkowy uśmiech kusił go jak śpiew syreny, by zapomniawszy wszystko, co o niej wie, i po prostu nasycił się jej pięknym ciałem.

- Och, Jack - zamruczała miękko, a jego znów przeniknął zmysłowy dreszcz. - Wszyscy mężczyźni tak mówią... na początku.

Lecz Jack znał prawdziwą Larissę Whitney i wszystkie jej podłe postęпки. Dlatego nie zwiedzie go jej rzekoma kruchość i bezradność. Wiedział, że pod czarującą powierzchownością tej kobiety kryje się bezduszna pustka.

Gdy teraz na nią patrzył, miał wrażenie, że spogląda w lustro, które świadomie rozbił przed pięcioma laty. I nie spodobało mu się to, co widzi. Larissa przypomniawszy mu dawnego siebie, o którym pragnął zapomnieć.

- W piątek o świcie z wyspy Maine odpływa prom - powiedział chłodno. - Chcę, żebyś na niego wsiadła.



Roześmiała się dźwięcznie, sprawiając, że Jack zateęsknił nagle za rzeczami, o których wiedział, że są fałszem - i o to też się obwinił.

- Rozkazujesz mi opuścić wyspę? - rzekła bez cienia lęku. - Jakie to władcze. Zaraz zemdleję ze strachu.

Jack przyjrzał się Larissie. Wyspa Maine była jego schronieniem, miejscem ucieczki podczas posepnych zim, niezaśmiecona wówczas tłumami bogatych turystów, którzy roili się na niej latem. Podczas miesięcy poza sezonem nie musiał być tym Jackiem Endicottem Suttonem - prawowitym dziedzicem dwóch wspaniałych amerykańskich fortun, a zarazem utrapieniem dla swego czcigodnego dziadka. Tutaj nie musiał się martwić, czy w przyszłości będzie potrafił zarządzać rodzinną fundacją charytatywną Endicott Foundation. Zaszyty na wyspie Maine wśród rybaków i poławiaczy krabów, którzy darzyli szacunkiem jedynie morze, a i to nie zawsze, mógł być po prostu sobą.

Nie pozwoli, żeby Larissa Whitney skaziła ten jego azyl swymi podstępными intrygami. A domyślał się, co sprowadziło ją tutaj, z dala od jej naturalnego terytorium wyższych sfer, mody, wytwornych przyjęć i plotkarskich tabloidów, i wcale mu się to nie podobało.

- Nawet nie spytałaś, co mnie tutaj przywiodło - powiedział i przyjrzał się uważnie nieprzeniknionej masce jej twarzy, jak zwykle gładkiej i pustej. Zirykowało go, że szukał w niej czegoś więcej. - To typowe dla ciebie, że skupiasz się wyłącznie na sobie.

- Wpadłeś do tej gospody jak współczesny Heathcliff z *Wichrowych Wzgórz* - zauważyła.

Zdawało się, że ta myśl przywołała marzenia. Lecz Jack ani przez chwilę w to nie uwierzył. Larissa, podobnie jak większość członków jej klasy społecznej, potrafiła w razie potrzeby być doskonałą aktorką. Lecz czy jest w niej coś więcej? Dlaczego wciąż pragnie się tego dowiedzieć?

- Wszystko tu jest takie romantyczne - dodała z westchnieniem.

- Chyba wiem, po co tutaj przyjechałaś - powiedział, ignorując tę udawaną kokieteryję. Jej sztuczki kiedyś na niego działały, lecz te czasy już dawno minęły. - Naprawdę sądzisz, że to ci się uda? Zapomniałaś, że znam cię na wylot?

Zamrugnęła i przez moment miał wrażenie, że jest autentycznie zaskoczona, zaraz jednak uświadomił sobie, że właśnie o to jej chodziło. A potem rzuciła mu powłóczyście, uwodzicielskie spojrzenie. Naprawdę potrafiła świetnie grać. Miała nieodparty urok i wiedziała o tym. Śmiertelnie niebezpieczny.

Była tak blisko, że poczuł jej niepowtarzalny upajający zapach. Pamiętał ją lepiej, niżby chciał. Nagle pochyliła się naprzód i położyła dłoń na jego udzie. Jej dotyk palił go przez materiał dżinsów. Jack przypomniał sobie, jak bardzo niegdyś pożądał Larissy. Teraz wciąż tak było, ale nie zamierzał temu ulec.

Wstał, strącając jej rękę. Coś w nim pragnęło znowu pieścić jej krągłe kształty, usłyszeć krzyki rozkoszy, zatracić się w tej kobiecie. Lecz już wyrósł z gier, które Larissa uprawiała z nim przed pięcioma laty, i nie chciał do nich wracać.

- Piątek - powiedział władcym tonem. - Prom wypływa o wpół do siódmej rano. To nie jest prośba.

- Podziwiam, jak świetnie znasz rozkład kursowania promów - odpowiedziała spokojnie. Dostrzegł w jej zielonych oczach coś, czego nie potrafił pojąć ani rozszyfrować. - Ale zrobię, co zechcę.

- Nie na tej wyspie - rzekł ostro.

Uniosła nieskazitelne brwi, a wyraz jej twarzy nieco ochłódł.

- Chyba nie muszę przypominać człowiekowi, którego przodkowie byli świadkami podpisania Deklaracji Niepodległości, że żyjemy w wolnym kraju.

- Z wyjątkiem tej wyspy - odparł z dumnym, aroganckim uśmiechem. - Ona należy do mnie.

Zrobiłam z siebie idiotkę, pomyślała Larissa w swoim pokoiku na mansardzie gospody, leżąc zanurzona po szyję w wodzie w żeliwnej wannie na nóżkach, pamiętającej zapewne jeszcze dziewiętnasty wiek.

Wyspa Endicotta.

Powinna się była tego domyślić. Podobnie jak pięć lat temu powinna się była oprzeć niebezpiecznemu urokowi tego mężczyzny.

Wyszła z wanny. Gdy włożyła miękki podkoszulek i obcisłe spodnie, usłyszała natarczywe pukanie do drzwi. Zamarła, a serce zabiło jej szaleńczo. To mógł być tylko jeden człowiek. Nie miała zamiaru go wpuścić. To byłoby dla niej groźniejsze, niż gdyby włożyła na głowę czerwony kapturek i powędrowała przez las pełen wilków.

A jednak jak zauroczona przeszła przez pokój do drzwi, bosa i wciąż jeszcze z wilgotnymi włosami. Nagle oblał ją żar większy niż przed chwilą w gorącej kąpieli.

Nie zapukał ponownie. Nie musiał. Wyobraziła go sobie stojącego na korytarzu. Czarne oczy o przenikliwym spojrzeniu, zmysłowe usta, wysokie kości policzkowe, prosty nos, wysportowana sylwetka. Na twarzy wyraz bystrej inteligencji, która umożliwiła mu gładką przemianę z zakąły rodziny w prezesa rodzinnej fundacji. Ta ewolucja zjednała Jackowi kolejne legiony kobiet darzących go bezgranicznym podziwem. Przestał już udawać beztroskiego ładnego chłopca i stał się urodziwym, władcym mężczyzną, co czyniło go jeszcze groźniejszym.

Pięć lat temu Larissa zdawała sobie z tego sprawę mimo przeżywanego załamania nerwowego, toteż po kilku upojnych dniach - i nocach! - odeszła od niego. Dlaczego więc teraz, mając o tyle więcej do stracenia, postąpiła wbrew zdrowemu rozsądkowi i wpuściła Jacka? Jakby nie potrafiła i nawet nie chciała się przed tym powstrzymać.

Stanął w progu w swobodnej pozie, przypominając wspaniały, imponujący posąg. A gdy Larissa napotkała jego spojrzenie, z wrażenia zaparło jej dech.

On jest znanadto niebezpieczny, a ja jestem zbyt słaba, pomyślała. Serce tłukło jej się w piersi. Zawsze w obecności tego mężczyzny czuła się bezradna, bez względu na to, co sobie wmawiała.

Wszedł do środka. Z trudem oderwała wzrok od jego kuszących, zmysłowych ust.

- Przesadziłeś, mówiąc, że jesteś właścicielem tej wyspy - rzuciła uznawszy, że najlepszą obroną jest atak.

- Ja nigdy nie przesadzam - odparł. Jego palące spojrzenie przeszywało ją na wylot jak laser i przyprawiało o zmysłowy dreszcz. - Nie muszę.

- Wyspa istotnie należała niegdyś do twojej rodziny - powiedziała rzeczowym tonem, powtarzając to, co wyszperała w Internecie swym smartfonem. - Ale twój dziadek przed mniej więcej trzydziestoma laty przekazał przeważającą jej część funduszowi po-

wierniczemu Maine Coast, a jeszcze znacznie wcześniej oddał spory kawałek stanowi Maine. Obecnie pozostała ci tylko wielka stara posiadłość. Jakie to smutne - dorzuciła z wymuszonym śmiechem.

- Czyżbyś zebrała wszystkie te informacje jeszcze przed przybyciem na wyspę?

- To tendencyjne pytanie - odparła. Bliskość Jacka oszalała ją niemal do zawrotu głowy, lecz powtarzała sobie, że to tylko czysto fizyczna reakcja ciała na tego mężczyznę. - Znam cię od swojego dzieciństwa i wiem o tobie niemal wszystko, bezpośrednio lub pośrednio. Oczywiście, z wyjątkiem twoich głęboko ukrytych myśli, zakładając, że w ogóle takie mewasz.

- Uważam, że wprawiasz w zakłopotanie nas oboje - powiedział cicho. W jego ciemnych oczach zamigotało rozbawienie zmieszane z irytacją. - To nie mnie ludzie nazywają najbardziej bezbarwną i nieciekawą osobą na Manhattanie. Niezły wyczyn, Larisso. Musisz być z siebie dumna.

Poczuła ukłucie jakby bólu czy wstydu, lecz je stłumiła. Tabloidy pisały o niej takie i gorsze rzeczy, odkąd była nastolatką. „Bezbarwna” można uznać niemal za komplement w porównaniu z tym, jak jeszcze ją nazywano. Już dawno powinna się na to uodpornić. Co ją obchodzi, że Jack przyłączył się do tego chóru szyderców?

- Och, daj spokój - rzuciła. Starła się zbytnio nie przyglądać jego muskularnej klatce piersiowej i płaskiemu umięśnionemu brzuchowi pod obcisłym podkoszulkiem. - Pamiętaj, że znam cię od dawna, jeszcze zanim postanowiłaś wymyślić siebie na nowo i stałaś się najnudniejszym człowiekiem na świecie. Znam cię z czasów, kiedy potrafiłaś być zabawny. - Wzruszyła ramionami, znakomicie udając swobodną beztroskę. - Przez co najmniej dziesięć lat, zanim dobiłaś trzydziestki, uważano cię za najbardziej rozpustnego playboya w całym Nowym Jorku.

Zetknęła się z nim bliżej pod koniec tego okresu, choć wolałaby o tym zapomnieć. Wówczas niemal zyskał powszechny szacunek z powodu szczerzej rozpacz po śmierci ukochanej matki. Z tego, co wiedziała, ich przelotna weekendowa przygoda była tym, co przeważało szalę na stronę potępienia. Cóż, jeszcze jeden grzech do jej długiej listy. Już dawno przestała je liczyć.

- Czy właśnie z tego błahego powodu tak bardzo mnie nienawidzisz? - spytała, miotana emocjami, które sama ledwo pojmowała. - Dlatego, że znalazłam cię wtedy? To nie fair. Znał cię wówczas niemal cały Manhattan.

- Nie czuję do ciebie nienawiści - odparł tonem, który zabrzmiał jak szorstka pieśń.

Nieoczekiwanie otarł palcem kroplę wody po kąpieli spływającą z jej obojczyka. Jego dotyk sparzył ją i przeraził. W oczach Jacka ujrzała ogień namiętności, gniew i coś jeszcze, co lękała się nazwać.

Ale, na Boga, to coś sprawiło, że go zapragnęła!

- Co ty robisz? - spytała, nienawidząc się za drżenie głosu, które ją zdradziło, za bezradne pożądanie, jakie wzbudzało w niej nawet lekkie dotknięcie Jacka.

Nazbyt ją pociągał. Raz zdołała od niego uciec, ale nie miała żadnej gwarancji, że ponownie dopisze jej takie szczęście.

Mimo to nie cofnęła się ani nawet nie poruszyła. W oczach mężczyzny dostrzegła błysk triumfu.

- Na wyspie Endicott niewiele jest rozrywek - powiedział, wodząc palcem przy dekolcie jej bluzki. A jednak jego spojrzenie było chłodne, taksujące. - A nie chcemy przecież, żebyś się nudziła. Widziałem, co się wtedy dzieje. - Parsknął krótkim śmiechem. - Chyba cały świat widział.

- Łatwo mnie znudzić i równie łatwo wtedy sfotografować - przyznała. - Teraz właśnie się nudzę.

Skwitował tę uwagę uśmiechem i rzekł, wciąż przesuwając palcem po jej skórze:

- Skoro tak nieoczekiwanie się spotkaliśmy, moglibyśmy przypomnieć sobie to jedno, co nam obojgu naprawdę sprawiało przyjemność. Co ty na to?

Chciała udąć, że nie zrozumiała, o czym mówi, ale powstrzymał ją gorący błysk w jego oczach. Bała się, że Jack zademonstruje, co miał na myśli. Uważał ją za taką samą jak przed ośmioma miesiącami i pięcioma laty. Oschłą, twardą i pustą. Kobietę, która zniesie wszystko i której nic naprawdę nie zrani. Martwą. Traktował ją jak dawniej, a czyniąc to, niszczył ją taką, jak była obecnie - łagodniejszą i spokojniejszą.

Nie mogła na to pozwolić. Ale też nie mogła zdradzić się przed nim, że się zmieniła. W ten sposób ryzykowałyby o wiele więcej, gdyż Jack uznałby to za sztuczkę, grę. Ona zaś nie mogłaby się bronić, nie mogłaby wyjawić mu prawdy o tym, co jej się przydarzyło, a tym bardziej o tym, kim się stała, gdyż wciąż jeszcze usiłowała się tego dowiedzieć.

I śmiertelnie się bała poznać odpowiedź.

- Powiedziałeś, zdaje się, że jeden raz w zupełności ci wystarczył - przypomniała mu, zdobywając się na lekki ton. To był jej pancerz nie do przebicia. - Ale nie musisz się martwić. Większość mężczyzn takich jak ty nawet nie próbuje się do mnie zbliżyć.

Oczy Jacka pociemniały i Larissa wstrzymała oddech.

- Sprawdź mnie - rzucił wyzywająco.

Ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Poczuła, że jest nieodwołalnie zgubiona.

I wtedy pocałował ją namiętnie.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Było gorzej, niż pamiętała, kiedy w ogóle pozwalała sobie na pamiętanie o nim. Ponieważ było lepiej. O wiele lepiej.

Zmysłowe doznania wzbudzone jego pocałunkami i bliskością przetoczyły się przez nią jak tornado. Szalone pożądanie wstrząsnęło nią i rozrywało na strzępy. Ciało Jacka zdawało się płonąć pod obcisłym podkoszulkiem i Larissa zapragnęła wsunąć dłoń pod cienki materiał.

Całował ją bez końca, jakby nie zamierzał nigdy przestać. Zacisnęła powieki i przywarła do niego. Płonęła i topiła się pod jego dotykiem.

Wpadłam w prawdziwe tarapaty, pomyślała.

Tym razem nie była pijana, jak wtedy po całonocnej chaotycznej imprezie. Nic nie tłumilo oszałamiającego wpływu, jaki na nią wywierał. Pamiętała, że wówczas urok Jacka był niebezpieczny, lecz teraz pojęła, że nie doceniła erotycznej władzy, jaką ten mężczyzna nad nią sprawuje.

Była taka głupia.

A jednak odwzajemniała jego pocałunki, lgnęła do twardej ściany jego muskularnej klatki piersiowej. Nic nie mogła na to poradzić. Miała wrażenie, że Jack Sutton został stworzony specjalnie po to, by rozpalić jej zmysły i doprowadzić ją do szaleństwa.

Jednak nie była już tamtą dziewczyną, którą on, jakkolwiek przelotnie, poznał. Ta myśl przebiła się w końcu przez deliryczną mgłę spowijającą jej umysł. Wiedziała, co ryzykuje; Jack natomiast nadal odgrywał dawne sztuczki, stare partytury.

Nie mogła się oszukiwać, że to, co się teraz dzieje, jej nie zniszczy, tym razem ostatecznie. Podpowiadał jej to głęboki kobiecy instynkt, którego nigdy dotąd nie dopuściła do głosu.

Oderwała się więc od Jacka i cofnęła, jak powinna była uczynić od razu. Lepiej późno niż wcale, powiedziała sobie. To porzekadło można by odnieść do całego jej życia. Marna pociecha.

- No cóż - rzekła z udawaną bez troską, jakby całe jej ciało nie wrywało się do Jacka, jakby jej serce nie waliło szaleńczo, a krew nie kipiała w żyłach z pożądania. - Widzę, że istotnie potrafiłeś się do mnie zbliżyć. Ale chyba będę musiała ci odmówić.

- Dlaczego? - wyrzucił z siebie niemal ze śmiechem, a w jego rozpalonym wzroku błysnęło niedowierzanie.

No właśnie, dlaczego?

Ponieważ nie była tamtą dawną lekkomyślną Larissą, która szukała jedynie przelotnej rozkoszy, aby nie myśleć o niczym innym. Nie mogła igrać z tym mężczyzną i wyjść z tego bez szwanku. Obawiała się, że już poniosła nieodwracalne szkody.

Dlatego wzruszyła ramionami i przybrała pozę „Larissy Whitney, bezdusznej, płytkiej flirciarki” niczym mocną zbroję. Nie odważy się odsłonić przed tym mężczyzną niczego więcej, niczego głębszego, co mógłby zniszczyć.

- Bo za bardzo tego chcesz - odparła lekkim tonem. Odwróciła się i podeszła do kominka. Na moment zamknęła oczy, by zebrać siły, a potem rzuciła mu przez ramię prowokujący uśmiech i dodała: - A to mnie nie bawi.

Nie powinien był tego zrobić - dotknąć, a tym bardziej całować. Ale dostrzegł w jej zielonych oczach błysk namiętności, którą chciał rozpaścić, aby buchnęła płomieniem. Zapragnął tej dziewczyny jak narkotyku, a ona znów z nim igrała. Jedno kłamstwo w następnym, jak te rosyjskie lalki matrioski, które kolekcjonowała jego matka.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że tak bardzo cię przestraszyłem - rzucił drwiąco. - Sądziłem, że nic nie zdoła tego dokonać.

- Boję się nietoperzy i skorpionów - odparła i udała, że się wzdryga. - Ale ciebie? Muszę cię rozczarować: ani trochę.

- Wiem, dlaczego tu przybyłaś - warknął gniewnie. - Przestań grać i po prostu to przyznaj.

Zerknęła na niego przez ramię, wciąż stojąc przy kominku. Jack nie mógł się pogodzić z tą fundamentalną sprzecznością w Larissie Whitney: zewnętrzna delikatność i kruchość zestawiona z jej prawdziwą zimną, bezduszną naturą, nadającą jej moc i niezniszczalność stali.

Jej zielone oczy powinny mieć twardość szmaragdów, lecz zamiast tego nieoczekiwanie ujrzał w nich przelotny zagadkowy cień, który jednak rozwiązał się tak szybko, że mógł być tylko złudzeniem.

- Więc powiedz, dlaczego, twoim zdaniem, zjawiłam się tutaj - rzekła oschle.

Jack żałował, że nie widzi wyrazu jej twarzy. Gdyby chodziło o jakąś inną kobietę, mógłby nawet przypuścić, że zranił jej uczucia. Ale Larissa Whitney nie ma uczuć.

Z mimowolnym podziwem objął spojrzeniem jej wspaniałe ciało. Media nazywały ją jedną z największych piękności naszych czasów, a on miał niegdyś okazję osobiście potwierdzić tę opinię. Poznał jej kuszące kształty - pełne piersi, bujne biodra. Wiedział też, jak jej ciało wygina się i drży w ekstazie rozkoszy.

Teraz, ubrana w zwykłe czarne spodnie i obcisły podkoszulek, wydała mu się bardziej pociągająca niż w którymkolwiek z wytwornych strojów, w jakich dawniej ją widywał. Niemal jakby pasowała do tej surowej wyspy. Ale to tylko złudzenie, któremu nie wolno mu ulec, gdyż Larissa niewątpliwie wykorzystałaby to przeciwko niemu. Dla niej wszystko i wszyscy są orężem, którym sprawnie potrafi się posłużyć. Wiedział o tym lepiej od innych.

Była kimś w rodzaju czarownicy i przez minione lata często zastanawiał się, dlaczego aż tak bardzo uległ jej czarowi. Dlaczego jej wspomnienie wciąż go prześladowało, podczas gdy nie pamiętał tylu innych kobiet, które zdobył? Wciąż nie znalazł odpowiedzi, lecz obecnie to już nieistotne.

Odwróciła się do niego, wrywając go z rozmyślań. Jej uśmiech był taki jak zawsze: wabiący, a zarazem odpychający. Jack zastanawiał się, dlaczego wbrew jego woli aż tak go fascynuje.

- Widzisz - rzekła prowokującym tonem. - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, więc nie krępuj się i wyjdź.

- W przyszłym miesiącu odbędzie się zebranie zarządu firmy Whitney Media - wyrwało mu się.

Zobaczył, że Larissa lekko się skrzywiła, i pomyślał, że uderzył celnie. Po chwili jednak opanowała się. Poczł coś w rodzaju cynicznego znużenia. Ale przynajmniej zdemaskował jej gierkę.

- Naprawdę zrobił się z ciebie nudziarz - stwierdziła. - Chyba o niczym nie miałabym mniejszej ochoty rozmawiać na tej samotnej wysepce pośród wzburzonego oceanu niż o koncernie Whitney Media.

- Słyszałem plotki - oznajmił. - Wszyscy słyszeli.

Larissa usiadła z podwiniętymi nogami w fotelu przy kominku.

- Manhattan żyje plotkami - odparła tym samym irytująco beztroskim tonem. - To miasto nigdy nie śpi, ponieważ jest zbyt zajęte powtarzaniem skandalicznych pogłosek, bez względu na to, czy są prawdziwe.

- Musisz się pojawić na tym zebraniu, prawda? - rzucił, ignorując jej uwagę. Nie potrzebował wysłuchiwać żadnych plotek o Larissie, gdyż sam dobrze ją poznał. - Postąpiłaś bardzo sprytnie, trzymając się przez ostatnie miesiące z dala od dziennikarzy. Ale teraz musisz udowodnić swojemu ojcu i jego krytycznie nastawionym wspólnikom, że jesteś naprawdę odpowiedzialna i godna zaufania. W przeciwnym razie uznają, że się nie nadajesz, i powołają pełnomocnika, który przejmie twoje obowiązki w firmie.

Powiedział jedynie to, o czym wiedzieli wszyscy biznesmeni czytający komentarze w „Wall Street Journal”. A jednak w szmaragdowych oczach Larissy zamigotał gniew lub może coś innego. Potem obdarzyła go uśmiechem Mony Lisy.

- Mówisz tak, jakbym od urodzenia walczyła o przejęcie kontroli nad firmą, niczym bohaterka kiepskiego serialu - mruknęła i spokojnie spojrzała mu w oczy. - Przykro mi, że muszę rozwiać twoje melodramatyczne domysły, ale mam pełnomocnika, odkąd pamiętam. - Skrzywiła się. - Nie znam nic nudniejszego niż zebrania zarządu, a ta firma nudziła mnie, jeszcze zanim trafiłam do przedszkola. - Uniosła brwi i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. - A jak wiesz, nie lubię się nudzić.

- Twój ojciec i były narzeczony zajmowali się twoimi udziałami - rzekł bezlitośnie, ignorując jej przedstawienie. Bo co innego mogło sprowadzić tutaj Larissę, jeśli nie własny interes? Dlaczego w ogóle próbowała to ukryć? - Ale ten eksnarzeczony zniknął, a wszyscy wiedzą, że nie jesteś ulubienicą papy. To zebranie stanowi twoją jedyną szansę na przejęcie kontroli nad finansowym dziedzictwem w dającej się przewidzieć przyszłości.

Tak wyglądała brutalna prawda i Jack był zadowolony, że wyłożył ją na stół. Wydało mu się, że Larissa lekko się zaczerwieniła, ale mógł to równie dobrze być rumieniec od żaru ognia w kominku.

Chciał, aby przyznała się, że właśnie dlatego się tutaj zjawiała, a on miał jej posłużyć jedynie jako narzędzie do osiągnięcia zamierzonego celu. Wiedział, że gdyby Larissa pozyskała go sobie czy wręcz poślubiła, to ogromnie poprawiłoby jej reputację i perspektywy. Właściwie powinien jej współczuć. Czyż niedawne polecenie jego dziadka, zobowiązujące go do rychłego i korzystnego ślubu, nie jest tego samego rodzaju presją? Jack zjawił się na wyspie właśnie dlatego, by pogodzić się z nieuniknionym. Sytuacja ich obojga jest w gruncie rzeczy bardzo podobna.

Lecz w tym momencie Larissa westchnęła teatralnie i załątek współczucia Jacka natychmiast się rozwiął. Nie, w niczym nie są do siebie podobni. On robi wszystko, by stać się godnym spadkobiercą rodzinnej spuścizny, natomiast Larissa pragnie jedynie nieskrępowanego dostępu do pieniędzy rodziny, aby następnie spędzić życie na trwonieniu majątku.

- Mam inne źródła dochodów - oświadczyła, niedbale machnąwszy ręką, jakby mówiła o pieniądzach rosnących na drzewach. Rzeczywiście w świecie fortun gromadzonych od stuleci często jest to bliskie prawdy. - To Theo miał obsesję na punkcie firmy Whitney Media. On i mój ojciec byli pochłonięci swymi korporacyjnymi rozgrywkami o najwyższe stawki. Ilekroć poruszali ten temat, konałam z nudów. Teraz rozmowa o tym też mnie nudzi.

Jack się roześmiał. Podszedł do siedzącej w fotelu Larissy i pochylił się, opierając dłoń o poręcz.

- Powiem ci, co o tym myślę - rzekł z nutą satysfakcji. - Przybyłaś na tę wyspę w porze sztormów, aby wciągnąć mnie w swoją małą bitwę, która rzekomo nic cię nie obchodzi. - Znow poczuł jej upajający zapach. - Jak wciąż powtarzasz, stałem się nudnie godny szacunku. Nie przypominam żadnego z twoich niebudzących zaufania kochanków celebrytów. Nadawałbym się więc doskonale do roli twojego sprzymierzeńca. To ogromnie poprawiłoby twój wizerunek w oczach ojca. Ugłaskałabyś papę, podając mu mnie na srebrnej tacy, prawda?

To fantastyczny plan, pomyślała Larissa. Wręcz genialny. Jej ojcu nic nie imponowało bardziej niż rodowód dorównujący jego własnemu lub go przewyższający. Bradford Whitney troszczył się wyłącznie o rodzinne dziedzictwo. Pod tym względem Larissa był dla niego nieustannym olbrzymim rozczarowaniem.

Kiedy przedstawiła w domu Theo Markou Garcię jako swojego chłopaka, a potem się z nim zaręczyła, najważniejsze było dla niej jego niskie pochodzenie, gdyż tej wady przyszłego zięcia ojciec w żadnym wypadku by nie przeoczył. Lecz nie doceniła Theo. Przejął kierowanie firmą i stał się dla Bradforda synem, którego nie miał. Ojciec nigdy jej nie wybaczył, że Theo w końcu ją porzucił, wskutek czego firma Whitney Media straciła fenomenalnie zdolnego dyrektora generalnego, zapewniającego znaczny wzrost zysków.

Jack Endicott Sutton byłby cudownym balsamem na zranione ego Bradforda i jego nieco odchudzony portfel akcji. Gdybyż Larissa, będąca czarną owcą rodziny i plamą na nazwisku Whitney, zdołała złączyć się z mężczyzną takim jak Jack. Jedynym spadkobiercą dwóch wspaniałych amerykańskich rodów: bostońskich potomków pierwszych osadników ze statku „Mayflower” oraz rodziny wywodzącej się z wyższych sfer Nowego Jorku - i ich olbrzymich fortun. Człowiekiem, który zmienił się z notorycznego rozpustnika w godnego zaufania, ciężko pracującego dziedzica niezmiernych bogactw. Bradford nie posiadałby się z radości.

Ale, oczywiście, niczego takiego nie zamyślała. Odkąd przebudziła się ze śpiączki, usiłowała uciec od wielkomiejskiego zgiełku i nużących obowiązków, i wcale nie zamierzała powrócić do Nowego Jorku, zwłaszcza do firmy Whitney Media, a już w żadnym razie nie planowała związać się z szacownym Jackiem Suttonem.

Był ostatnią osobą, o której by pomyślała, ponieważ w jego obecności nie potrafiła zapanować nad swoimi zmysłowymi reakcjami. Lecz aby mu to wyjaśnić, musiałaby przyznać się do władzy, jaką nad nią posiadał, a to byłoby zbyt ryzykowne. Woląла już ścierpieć niepoehlebną opinię o sobie.

- Milczysz? - rzekł, przywracając ją z powrotem do rzeczywistości. - Naprawdę sądziłaś, że zdołasz mnie oszukać co do prawdziwego powodu twojej obecności na tej niegościnniej wysepce? - Ukucnął przed nią. - Dlaczego po prostu się do tego nie przyznasz?



Larissa odetchnęła głęboko. A potem, ponieważ wiedziała, że i tak jej nie uwierzy, powiedziała mu prawdę.

- Nie miałam pojęcia, że cię tu zastanę. Nie przyszło mi do głowy, że jest tutaj rezydencja rodziny Endicottów. Chciałam po prostu znaleźć się w jak najodleglejszym zakątku świata. Nie mam żadnego przebiegłego planu dotyczącego mojego ojca. On mnie nic nie obchodzi, podobnie jak koncern Whitney Media.

Jack miał niedowierzanie wypisane na twarzy, toteż mogła dalej bezpiecznie mówić szczerze.

- Może po prostu próbuję się zmienić - rzekła z uśmiechem. - A czyż jakiegokolwiek miejsce nadaje się do tego lepiej niż samotna wysepka w porze jesiennych deszczów?

Potrząsnął głową, zabrał dłonie z poręczy fotela i przesunął nimi po jej nogach od kolan do kostek, rozniecając płomień namiętności. Potem nieoczekiwanie ujął ją za rękę. Serce podskoczyło w piersi Larissy.

- Jesteś taka ładna, kiedy kłamiesz - powiedział niemal czule. - Czynisz z kłamstwa rodzaj sztuki. Chyba powinnaś być z tego dumna.

Poczuła się nagle rozczarowana i głęboko zraniona. Czyżby się spodziewała, że Jack Endicott jakimś cudem przedrze się przez wszystkie jej obronne zasieki i zobaczy ją taką, jaka jest naprawdę? Przecież wcale tego nie chciała. Więc skąd w niej ten ból?

Znała odpowiedź. Między nimi coś istniało - w tym, czego doznawała, kiedy jej dotykał, w sposobie, w jaki na nią patrzył. Sprawiał, że wyobrażała sobie, że mogłaby dla niego stać się inna, lepsza.

Lecz pięć lat temu nie sprostала tej myśli i cokolwiek Jack w niej ujrzał, ona to zniszczyła. Ponieważ taka właśnie była - niszczyła wszystko, czego się tknęła.

- Rozumiem - rzekła i spojrzała na niego. - Czyli tobie wolno mieć niechlubną przeszłość, a potem w dogodnym momencie się zmienić, ale mnie nie. Dlaczego?

- Ponieważ jesteś Larissą Whitney - odparł z rozbawieniem.

Przeniknął ją chłodny dreszcz. Zapragnęła zmusić go, żeby uwierzył w jej przemianę. Wiedziała, że potrafiłaby tego dokonać, gdyby tylko się odważyła. Jednak zawsze była słaba i wybierała łatwe drogi, gdyż dzięki temu przynajmniej czuła się bezpieczna.

- A więc dobrze - odpowiedziała z uśmiechem, pogodzona z faktem, że sama myśl o tym, że mogłaby się zmienić, wydaje mu się komiczna i absurdalna.

- Zjedź ze mną kolację - zaproponował uwodzicielskim głosem.

Ten mężczyzna był wcieloną pokusą. Wiedziała jednak, że Jack w istocie nie pragnie jej, tylko swojego wyobrażenia o niej. A mimo to pożałowała go do szaleństwa.

- Powiedział pajak do muchy - rzuciła, usiłując przybrać żartobliwy ton.

- Oboje wiemy, że to ty lubisz snuć pajęczę sieci intryg - rzekł bez troski. Wstał ze swobodnym, niedbałym wdziękiem. - I kto wie, może uda ci się przekonać mnie do twojego przebiegłego planu? Próbuj.

Był taki arogancki, taki pewien, że odgadł wszystkie jej zamysły i gierki, przeniknął na wylot jej płytką duszyczkę.

- Dlaczego miałabym próbować, skoro już mi odmówiłeś?

- Skłoń mnie, żebym zmienił zdanie - rzekł zmysłowym głosem. Pod jego pożądliwym spojrzeniem poczuła się naga, bezbronna, zagubiona. - Zachęcam cię do tego.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Rezydencja Endicottów dominowała nad południową częścią wysepki. Prowadziła do niej prywatna droga, wijąca się wzdłuż skalistego wybrzeża pośród gęstego sosnowego lasu. Dopiero gdy Larissa wjechała wynajętym dodge'em na ostatnie wzgórze, jej oczom ukazała się imponująca wytworna budowla nad wysokim brzegiem morza.

Dziewczyna przywykła do pięknych domów. Mieszkała w nich przez całe życie. A jednak poczuła podekscytowanie na widok tego, co Jack z typowym dla wyższych klas lekceważeniem nazwał „letnim domkiem”. Jak większość sezonowych domów, należących do ludzi ze śmietanki towarzyskiej, także ten miał swoją nazwę: Scatteree Pines.

To był jej świat. Dlaczego więc czuła się w nim tak obco?

Deszcz bębnił o dach auta i zalewał przednią szybę, mimo że wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach. Larissa nie wiedziała, która burza jest groźniejsza - ta na zewnątrz czy ta, która kłębiła się w niej.

Raz jeszcze popatrzyła na rezydencję Scatteree Pines, mającą niewyraźnie w deszczowym mroku nocy. Budynek stał na szczycie wzgórza, z widokiem na rozpościerający się w dole ocean. Jego architektura nawiązywała do stylu wiktoriańskiego: główna część ze stromym dachem i wytwornym frontowym wejściem oraz dwa rozległe boczne skrzydła. Jednak nie znajdował się w jednej z modnych turystycznych miejscowości, jak na przykład letnia siedziba rodziny Whitneyów, lecz na odległej samotnej wysepce na Atlantyku.

Ale to nie ma znaczenia, powiedziała do siebie ostro Larissa. Tak jak ta rezydencja w rzeczywistości wcale nie jest skromnym „letnim domkiem”, tak i Jack jedynie udaje zwyczajnego zjadacza chleba. Nie powinien jej zwieść jego swobodny strój - wytarte stare dżinsy i podkoszulek. Jack Endicott Sutton jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie i pochodzi z równie bogatej amerykańskiej rodziny o długiej tradycji, której korzenie sięgają brytyjskiej arystokracji. Musiała pamiętać, że majątek daje Jackowi władzę, której używa bez żadnych skrpułów.

Podobnie jak jej ojciec i wszyscy ci oszałamiająco bogaci i na wskroś źli ludzie, od których uciekła przed ośmioma miesiącami. A jednak przyjęła zaproszenie Jacka na ko-

lację do tej imponującej rezydencji, chociaż podejrzewała, że owa „kolacja” jest jedynie eufemizmem. I oto siedziała w samochodzie przed jego drzwiami, wahając się jak speszona nastolatka. Usłuchała wezwania Jacka niczym ćma zwabiona do śmiertelnie groźnego płomienia. Niech go diabli!

Kłopot z przebywaniem na wyspie polega na tym, że nie ma dokąd uciec. A Larissa nie wątpiła, że jeśli nie zjawi się dziś wieczorem u Jacka, on ją odszuka.

Tylko kogo próbuje zwieść? Samą siebie? Przyrzekła przecież, że nie będzie się okłamywać. Ogarnął ją dojmujący wstyd, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo jest słaba.

Od wielu miesięcy uciekała przed przeszłością i przed dawną sobą, przed starymi przyjaciółmi i swoim żalonym, bezwartościowym życiem. I była bardzo z siebie dumna, gdy dotarła na tę wysepkę. „Spójrzcie na mnie. Znalazłam się daleko od Manhattanu, w miejscu, gdzie nikt mnie nie zna. Udałam się na dobrowolne wygnanie i mogę stać się inna, odmieniona. Potrafię się zmienić”.

Nigdy dotąd nie zbliżyła się tak bardzo do rzeczywistości. A przynajmniej tak sądziła, siedząc w gospodzie na wyspie Maine i wpatrując się w miotany sztormem ocean. Była psychicznie poturbowana, zagubiona i niepewna - ale po raz pierwszy czuła, że naprawdę żyje:

I wtedy zjawił się Jack Sutton - ucieleśnienie męskiej pokusy, symbol jej dawnego rozwiązłego życia - i osiem miesięcy głębokich duchowych doświadczeń Larissy rozwiąło się w jednej chwili jak dym. Jakby w ogóle niczego się nie nauczyła.

Dlaczego teraz przyjechała do niego? Miała wrażenie, że ześlizguje się z powrotem w mroczną otchłań, z której z takim wysiłkiem się wydobywała. Żałośnie oblała już pierwszy egzamin swej świeżo zyskanej dojrzałości.

„To prawdziwa ty - usłyszała w głowie głos ojca. - Jesteś tylko rozczarowaniem i wstydem dla całej rodziny”.

Nie musiała tego robić! Gwałtownie wrzuciła wsteczny bieg, lecz w tym momencie drzwi rezydencji się otworzyły, zalewając podjazd potokiem światła. W progu stanął wysoki, władczy Jack Sutton i natychmiast przygwoździł ją spojrzeniem przez przednią szybę samochodu. Larissę przeniknął dreszcz, zaparło jej dech w piersi, a serce waliło szaleńczo. Poczowała się oszołomiona i kompletnie bezradna. Bezradna wobec tego, co w

nieunikniony sposób musiało teraz nastąpić, i wobec własnego przemożnego pragnienia, które ledwie pojmowała.

Wiedziała, że powinna uciec, zanim ulegnie owemu pragnieniu i do szczętu zdradzi samą siebie. Zamiast tego wyłączyła silnik i powoli wysiadła. Znienawidziła siebie za to.

Deszcz chwilowo ustał, ale wciąż wiał porywisty wiatr, niosąc zapachy morza, drzewnego dymu i mokrych sosen oraz chłodną, rześką woń nadchodzącej zimy. Pośród gęstej nocnej ciemności przed Larissą skrzył się światłami wspaniały dom.

Jack nadal przyglądał jej się w milczeniu. Pociągał ją w nieodparty pierwotny sposób, ale Larissa wiedziała, że nie wolno jej ufać swym pragnieniom, bo zawsze sprowadzają na nią tylko cierpienie.

Drżała, ale wmawiała sobie, że to z zimna. Jednak w rzeczywistości była zalekniowana, niepewna i pełna obaw wobec tego, co ją teraz czeka.

Jack spodziewał się po niej swobodnego, nonszalanckiego zachowania, typowego dla wyobrażonej przez siebie płytkiej Larissy Whitney. Postanowiła więc spełnić jego oczekiwania, bez względu na to, ile ją to będzie kosztowało.

- Żadnej służby? - rzuciła, mijając go z taką wyniosłą godnością, jakby kroczyła po czerwonym chodniku i miała na sobie wytworną wieczorową kreację, a nie wytarte dżinsy i golf. - Jestem kompletnie zszokowana. Sądziłam, że potomkowie takich wspaniałych rodów chcą, by zawsze im usługiwano.

- Wiesz o tym więcej ode mnie - odparł sucho.

Gdy na nią spojrział, odwróciła wzrok. Nigdy dotąd odgrywanie żadnej roli nie przychodziło jej z takim trudem.

Jack zamienił podkoszulek na sweter z grubego bordowego kaszmiru, ale został w tych samych wąskich dżinsach. Jednakże w tej imponującej posiadłości, świadczącej jednoznacznie o jego bogactwie i pozycji społecznej, nie mógł już udawać kogoś zwykłego. Larissa przełknęła nerwowo i podała mu swoją grubą czarną kurtkę i szary szalik. Wziął je i przewiesił sobie przez rękę jak kamerdyner.

- Patrzyłem, jak siedziałaś w samochodzie - powiedział lekko kpiącym tonem. - Wyglądałaś... - urwał i nie dokończył zdania. - Czy się rozmyślałaś?

- Co do czego? Kolacji?

- Do tego też - odparł.

Odłożył jej płaszcz i skinął, żeby poszła za nim w głąb holu. Usłuchała, starając się przyglądać raczej wystrojowi rezydencji niż temu oszałamiająco przystojnemu mężczyźnie. Wnętrze urządzone było w owej wyjątkowo aroganckiej manierze typowej dla majątnych mieszkańców Nowej Anglii, którzy traktują swoje olbrzymie bogactwo jak rodzaj wstydlivej i potencjalnie zaraźliwej choroby. W ich domach jest zimno, a chodniki są stare i wytarte. Ci ludzie zajeżdżają swoje tanie i przygnębiająco praktyczne samochody niemal do stanu wraków i wzdragają się przed najdrobniejszym nawet demonstrowaniem swej pozycji finansowej. Unikają jak ognia wszelkiego zwracania na siebie uwagi. Nadal wyznają purytańską etykę pracy, a ich filantropijne gesty nigdy nie są czynione na pokaz. Larissa wiedziała, że rodzina Endicott - a zwłaszcza surowy i onieśmielający dziadek Jacka - stanowi wręcz uosobienie owego konsekwentnego zaprzeczenia arystokratyzmu.

Mimo to rezydencja Endicottów w żadnym razie nie sprawiała przygnębiającego wrażenia. Charakteryzowała się spokojną prostotą i funkcjonalną dbałością o wygodę. Wszędzie widoczne były oznaki bogactwa, jednakże bez cienia ostentacji.

Wygląda na to, że ludzie naprawdę tu mieszkają i może nawet tworzą prawdziwą rodzinę, pomyślała Larissa, lecz zaraz skarciła się w duchu za bujanie w obłokach. Dom to tylko dom, a Jack w niczym się nie różni od innych mieszkańców ich wspólnego pustego, plastikowego małego światka. Nie powinna się łudzić.

Niemniej czuła się niepewna i skrepowana, więc usiadła na sofie w salonie i przybrała najbardziej swobodną pozę, jaka była możliwa bez ześlizgnięcia się na podłogę. Kolejne z jej licznych uzdolnień.

- Napijesz się czegoś? - zapytał Jack, idąc do barku w kącie pokoju.

- Znieczulaj się, ile tylko zechcesz - rzuciła chłodno. - Ja, popełniając katastrofalne błędy, wolę przynajmniej zachować trzeźwą głowę.

Zaśmiał się i kostki lodu zadźwięczały w kryształowej szklance.

- Od kiedy?

- To niedawny nawyk - odrzekła po chwili wahania, starając się nie okazać urazy. - Jak sam mi ochoczo przypominałeś, przebywałam ostatnio w ośrodku resocjalizacyjnym.



Rzucił jej przenikliwe spojrzenie.

- Sugerujesz, że potraktowałaś ten pobyt poważnie? - spytał nieco zbyt opanowanym tonem. - Ty?

No tak, Larissa Whitney nie może się zmienić, nawet gdyby chciała, pomyślała z goryczą. Dlaczego nieustannie wmawia sobie, że jest inaczej?

- Czemu miałabyś się tym przejmować? - dodał z niebezpiecznym błyskiem w oczach, obracając w dłoni szklankę z bursztynowym płynem.

- Może po prostu idę w twoje ślady - powiedziała, zmuszając się, by nie odwrócić wzroku, i wyzywająco uniosła brwi. - Może przemodelowałam siebie, naprawiłam mój zszargany wizerunek i zaczęłam całkiem od nowa. Tak jak ty.

- Nie rozumiem, dlaczego? - rzucił takim tonem, jakby nie wierzył w ani jedno jej słowo.

Sama często zadawała sobie to pytanie, ale z jego ust nie mogła go znieść.

- No cóż - mruknęła z irytacją. - Nie rozumiesz bardzo wielu rzeczy, prawda?

Napięcie między nimi stało się niemal fizycznie wyczuwalne.

Jack zmierzył ją chłodnym, beznamiętnym spojrzeniem.

- Myślę, że rozumiem aż nazbyt dobrze. Potrzebujesz nowego odpowiedniego narzeczonego i liczysz, że wmanewrujesz w to mnie. Oboje wiemy, że już tak robiłaś.

- Czy ja wmanewrowałam cię w tamten weekend? - rzuciła.

Przez jego twarz przemknął cień.

- Nigdy nie uczynię niczego, co mogłoby nadszarpnąć zaufanie mojego dziadka do mnie - oświadczył, po czym dodał z uśmiechem: - Jakkolwiek wątle może być to zaufanie, zważywszy na moje dawne postęпки. Jednakże stałem się w końcu człowiekiem, jakim powinienem być, i nie dam mu powodu, by w to zwątpił. Rozumiesz?

Rozumiała bardzo dobrze. Targały nią odraza, rozpacz, wstyd i gniew.

- Na przykład, gdyby zobaczono cię z kimś takim jak ja - zdołała wydusić - to nieodwracalnie splamiłoby twój nieskazitelny wizerunek.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Przykro mi, jeśli ranię twoje uczucia - powiedział bez cienia żalu. - Ale taka jest prawda. Nie uda ci się wciągnąć mnie w tę intrygę, bez względu na to, co zrobisz.

- A co takiego, twoim zdaniem, byłabym skłonna zrobić? - spytała cicho.

Jack tylko się uśmiechnął, wpatrując się w nią płonącym wzrokiem. Był taki piękny, a jednocześnie tak okrutny i przekonany, że może bezkarnie ją obrażać. Sądził, że posłużyłaby się swoim ciałem, by pozyskać go dla swego przebiegłego pianu, ponieważ jest opętana pragnieniem zdobycia fortuny i odziedziczenia rodzinnej spuścizny. Tak jak on.

Nie wątpił, że dla tego celu gotowa byłaby się sprostytuować.

Znów ogarnęła ją wściekłość - na niego, że w to uwierzył, i na samą siebie, że swym dotychczasowym życiem zasłużyła na taką opinię.

Dawniej nigdy nie dawała się ponieść gniewowi. Odsuwała negatywne emocje albo tłumiała je w sobie. Teraz jednak pomyślała, że w gniewie na tego mężczyznę jest coś wyzwającego.

W głębi duszy wiedziała, że wyładowanie na nim furii niczego nie rozwiąże. Jack uznałby to jedynie za potwierdzenie swojego niepochlebnego sądu o niej. Dlatego odetchnęła głęboko i opanowała się z wysiłkiem.

- Nie widzę sensu kontynuowania tej rozmowy - oznajmiła. - Skoro nie zamierzasz grać, to po co w ogóle rozpocząłeś tę partię?

- Chciałem się przekonać, jak daleko się posuniesz - odparł natychmiast, zbyt szybko. - I jak bardzo jesteś bezwstydna.

Boże, jak go nienawidziła! Co za podły hipokryta! Jakby jego przeszłość różniła się w czymkolwiek od jej własnej. Wiedziała jednak, że Jack, podobnie jak ona, nie panuje już nad erotycznym napięciem między nimi. Gdyby było inaczej, nie sprowadziłby jej tutaj.

Mogła go zmusić do pokazania kart. Wstała powoli, kusząco, i uśmiechnęła się, napotkawszy jego pożądliwe spojrzenie.

- Tak, jestem bezwstydna - rzekła zmysłowym tonem. - Ale wiedziałeś to już wcześniej.

Ściągnęła przez głowę sweter, odrzuciła go na bok i stanęła przed Jackiem naga do pasa, nawet bez biustonosza. Od lat nie czuła się tak władczo jak w tym momencie. Jakby była jakąś boginią zemsty, z którą mężczyźni typu Jacka Suttona nie mogą igrać.

- Ubierz się - polecił ochryłym głosem.

Zobaczyła, że jego ciało się napięło, a w czarnych oczach dostrzegła ognisty błysk pożądania.

Gwałtownie chlusnął na podłogę resztę drinka i odstawił szklanę.

- Biedny Jack - rzuciła kpiąco, upajając się jego słabością i tym, że mogła jej użyć jako broni przeciwko niemu. - Niewiele istnieje rzeczy, których pragniesz, lecz nie możesz dostać. Masz pecha, że ja jestem jedną z nich.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Zwariowałaś - rzucił Jack lodowatym tonem i odsunął się od niej... ale tylko trochę. - Dostałem już od ciebie wszystko, czego chciałem. Stawiasz samą siebie w kłopotliwym położeniu.

Larissa spoglądała na niego śmiało. Jej zielone oczy przypominały drogocenne szmaragdy. Uśmiechnęła się i oparła niedbale o poręcz sofy, jakby chciała zademonstrować mu w pełni swe kuszące ciało.

A on, Boże dopomóż, nie potrafił oderwać od niej wzroku! Była tak doskonale piękna, jak ją zapamiętał. Poczul gwałtowny przypływ pożądania. Zapragnął pieścić i całować całe jej ciało, aż Larissa będzie więc się z rozkoszy, jęcząc jego imię.

Nie mógł sobie pozwolić na coś takiego, bez względu na to, jak bardzo by tego pragnął. Musi trzymać się z daleka od tej kobiety.

- Wcale nie czuję się zakłopotana - odparła rozbrajająco słodkim głosem. - Czy właśnie tego chciałeś? Żebym naga upokorzyła się przed tobą i błagała cię o pomoc, a ty odmówiłbyś mi, świętoszkowato przekonany o swojej racji? - Grymas pogardy wykrzywił jej wargi. - A może nie lubisz zatrzymywać się w pół drogi? - rzuciła wyzywająco i prowokacyjnie sięgnęła do suwaka swych dżinsów.

- Przestań! - zawołał i nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest na niego rozgniewana. Zacisnął szczęki, opanowując przemożny impuls, by wziąć ją w ramiona i od słów przejść do czynów. - Czego właściwie chcesz, Larisso?

- Sądziłam, że już to wiesz - zripostowała. - Myślałam, że z satysfakcją mi to powiesz z wyżyn swojej świeżo zyskanej szlachetności. - Wstała z sofy i podeszła do niego. - Tak, oferuję ci siebie. - Przechyliła głowę na bok. - Ale jeśli ja się prostytuuję, to jak ty wyglądasz w tej sytuacji?

- Powiedziałaś, że nie mogę cię mieć - przypomniał, powstrzymując się wysiłkiem woli, by nie objąć jej namiętnie. - A teraz stajesz przede mną półnaga i prostytuujesz się. Co to ma znaczyć?

- Już wcześniej niemal nazwałeś mnie dziwką - warknęła. - A jednak to ty mnie pocałowałeś i to ty nie potrafisz utrzymać rąk przy sobie. Pamiętaj, że kiedyś to ja od ciebie odeszłam.

- Na twoim miejscu nie przypominałbym tego - powiedział aż nazbyt łagodnym głosem, tłumiąc irytację. - To nie jest moje ulubione wspomnienie dotyczące ciebie.

- Czyż nie o to w tym wszystkim chodzi? - spytała i w jej smutnych oczach znów pojawił się twardy błysk. - Czy nie dlatego odnosisz się do mnie tak wrogo? Miałam czelność porzucić wielkiego Jacka Endicotta Suttona. Taka nikczemna i bezwstydna dziwka jak ja.

Jacka zabolalo, że Larissa to powiedziała i że przypisuje mu takie myśli. Nieoczekiwanie dla samego siebie zapragnął ochronić ją przed tymi słowami, jakby to były groźne ciosy.

- Nigdy nie nazwałem cię dziwką... - zaczął.

- Czyżby? - przerwała mu.

Wciąż stała przed nim półnaga. Pożądał jej gwałtownie, niemal boleśnie. Przyglądała mu się z surowym rozbawieniem, a potem w jej oczach zamigotał zielony ogień gniewu.

- Larisso, włóż z powrotem sweter - zażądał wbrew sobie.

- Miałam na sobie mniej, kiedy pozowałam do zdjęć na okładki ilustrowanych magazynów - parsknęła i kusząco zakołysała biodrami. Jack poczuł suchość w ustach. - Odkąd to zrobiłeś się taki pruderyjny?

Od kiedy natknąłem się na ciebie na tej wyspie i ponownie wtargnęłaś w moje życie - pomyślał ponuro. Nie obchodzi mnie nawet, dlaczego tu jesteś. Chcę tylko...

Lecz nie pozwolił sobie dokończyć tej myśli. Schylił się, podniósł sweter i podał jej. Nawet powietrze między nimi zdawało się wibrować erotycznym napięciem.

- Włóż to, do diabła, albo sam cię ubiorę - warknął. - I obiecuję, że to nie będzie przyjemne.

Przez chwilę wpatrywała się w niego kpiąco, a potem spoważniała.

- Zapewniam cię, że nie masz pojęcia, czego chcę - powiedziała i oczy jej pociemniały.

Porywczo wzięła od niego sweter, uważając, by ich dłonie się nie zetknęły, i wciągnęła przez głowę. Potem popatrzyła nieufnie na Jacka. Wydała mu się bardziej pociągająca niż kiedykolwiek wcześniej. Przypomnił sobie wszystko, co przedtem powiedziała mu w gospodzie, a co odrzucił bez wahania jako kolejną bajeczkę, mającą na celu wciągnięcie go w intrygę. Nie zamierzał ulec jej knowaniom, ale teraz w tym zbyt obszernym czarnym golfie wydała mu się drobna i bezbronna.

- Co się z tobą stało? - zapytał cicho.

Nie zamierzał o to pytać. Na dzisiejszy wieczór obmyślił zemstę i upokorzenie Larissy, aby jej pokazać, jak niewiele wskóra z nim swoimi sztuczkami. Lecz teraz, gdy iskrzyło między nimi erotyczne napięcie, już prawie o tym nie pamiętał.

Uśmiechnęła się i chociaż nie był to jej wyćwiczony uśmiech syreny, jednak wciąż nie dosięgał oczu.

- Przecież już wiesz, co się ze mną stało. Cały świat to wie, a gazety mniej więcej co tydzień od nowa wałkują tę sprawę, aby zwiększyć nakład. Moje cierpienie doskonale się sprzedaje.

- Theo - domyślił się i stłumił ukłucie zazdrości. - Byliście ze sobą bardzo długo. Chyba pięć lat, prawda? Rozstanie z nim musiało być dla ciebie ogromnie bolesne.

- Nie w taki sposób, jak myślisz - odrzekła z wymuszonym lekceważącym śmiechem. - Poznał kobietę niemal łudząco do mnie podobną, ale posiadającą tę istotną zaletę, że nie była mną. Nic dziwnego, że o wiele bardziej mu odpowiadała. Nie mogę go o to winić. Chyba na niego nie zasługiwałam.

Nie spodobało mu się to, co powiedziała, choć nie do końca wiedział, dlaczego. Wydała mu się nagle bardzo krucha, jakby już coś ją złamało.

- Może to on nie zasługiwał na ciebie - rzekł i nie był pewien, kogo bardziej zaskoczyła ta uwaga: Larisę czy jego samego.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Tak czy owak to moja wina.

Zanim się zorientował, wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. Przeniknęło go jakieś kłopotliwe uczucie. Pożądanie, tak, ale też coś głębszego, czego nie pojmował.

Zapadła między nimi długa, krępująca cisza.



- Chyba już pójdę - rzekła wreszcie Larissa ze swym zagadkowym uśmiechem Mony Lisy, który zirytował Jacka. - Niewiele kobiet może powiedzieć, że rozebrało się przed Jackiem Endicottem Suttonem w jego prywatnej rezydencji na wyspie Maine. Dołączę to do listy moich najbardziej...

- Zostań - przerwał jej, chociaż nie zamierzał się odezwać. W jaki sposób ta dziewczyna zdołała sprawić, że w tej scenie czuł się jak potwór? - Na kolacji - uściślił.

- Jak mogłabym odmówić - odrzekła z dźwięcznym, srebrzystym śmiechem.

Pamiętał, że dokładnie tak samo odpowiedziała przed pięcioma laty, kiedy zaproponował jej pod wpływem nagłego impulsu, żeby oboje ulotnili się z przyjęcia. Przypominał sobie, jak potem pieścił ją i całował z szaloną namiętnością, i pod wpływem tego wspomnienia ogarnęło go gwałtowne podniecenie.

Znał ją wtedy już od wielu lat. Nigdy nie marnował czasu na czytanie sznurowanych opowiadań w brukowcach, nawet kiedy dotyczyły jego samego i prezentowały najbardziej skandaliczne zmyślenia jako niezbite fakty. Wiedział jednak, że Larissa Whitney jest bohaterką tych plotkarskich pisemek. Każde jej słowo, postępek, strój i fryzura były szeroko komentowane, krytykowane, a potem ślepo naśladowane przez liczne zastępy kobiet.

Na tym przyjęciu stwierdził z zaskoczeniem, że mimo to jest bystra i obdarzona poczuciem humoru. Tańczyli ze sobą przez całą wieczór. W owym czasie Jack był pogrążony w rozpacz po śmierci matki. Larissie udało się przebić przez jego smutek i żal, jak jasny promień słońca przebija się przez gęste burzowe chmury.

- Wyjdź ze mną - zaproponował wtedy w tańcu.

Obejmował ją mocno i czuł przy sobie jej kuszące ciało. Miał wrażenie, że ulega magicznemu czarowi tej dziewczyny.

Zareagowała radosnym śmiechem. Nie spytała, dokąd chce ją zabrać ani po co. Nie próbowała prowadzić z nim żadnej gry. Po prostu przywarła do niego i szepnęła:

- Jak mogłabym odmówić.

Teraz Jack nie dostrzegł u niej najmniejszej oznaki tego, że przypominała sobie tamtą scenę. Twarz miała gładką i niewzruszoną. Być może łudził się, przypuszczając, że w Larissie pod pozorem pustki kryje się coś głębszego, co mógłby odkryć.

Może jest większym głupcem, niż wcześniej sądził.

Zaprowadził ją na tyły domu do kuchni, już dawno przerobionej według nowoczesnego gustu. Podszedł do zamrażarki i zaczął wyjmować z niej produkty na lodę.

- Ty gotujesz? - spytała z nutą rozbawienia w głosie.

Stała przy stole z grubo ciosanego drewna i zaglądała mu przez ramię.

- Cenię prywatność - odparł, wzruszając ramionami. - Dlatego nie zatrudniam służby ani dostawców i sam przyrządzam posiłki.

- Nowojorska socjeta byłaby zszokowana, dowiedziawszy się, jak ciężko musisz pracować - rzekła Larissa z kpiącym uśmiechem.

- To zależy od tego, co uważa się za ciężką pracę - powiedział, grzebiąc w świetnie zaopatrzonych kuchennych szafkach. - Rozmyślanie o sprawach niezwiązanych z przyjęciami i zakupami? Posiadanie w życiu celu wykraczającego poza trwonienie rodzinnej fortuny? Czy to jest takie uciążliwe?

- Wiesz, że tak - odrzekła; w jej głosie znów zabrzmiało rozbawienie.

Stała obok niego. Jack doznał osobliwego wrażenia *déjà vu*, jakby Larissa była z nim tutaj zawsze, jakby żyli razem i łączyło ich coś znacznie więcej niż tylko nienasycona, niedająca się ugasić namiętność.

Wyjął z wiszącej na ścianie kuchennej szafki suchy makaron, położył na ladzie kilka kielbasek, pomidory, bazylię, kawałek dobrego żółtego sera i główkę czosnku.

Larissa zerknęła na niego i wydało mu się, że ona również doświadcza tej niemal halucynacyjnej fantazji o ich wspólnym życiu. Pragnął tej kobiety, być może od zawsze. Ale to był tylko seks - gwałtowny, wybuchowy, rozżarzony do białości, który przez krótki, najbardziej mroczny okres w swym życiu brał mylnie za jakieś głębsze uczucie.

- Pokroję czosnek - zaofiarowała się.

To absurdalne... a jednak Jack miał wrażenie, że Larissa przynależy do tego domu.

- Nie wiem, czy chcę, żebyś wymachiwała nożem w mojej kuchni - powiedział, a ona zareagowała pogodnym, niewymuszonym uśmiechem, który zamigotał też w jej zielonych oczach.

Jacka uderzyła myśl, że właśnie zobaczył prawdziwą Larissę Whitney. Poczul w sercu dziwne ciepło, a jednocześnie pojawił z niezbitą pewnością, że w żadnym razie nie

powinien był jej tutaj zapraszać. Należało udać, że nie zauważył jej w tamtej gospodzie, i zająć się swoimi sprawami. Jednak gdy chodziło o Larissę, zawsze wykazywał pożałowania godną słabość.

To było jak sen.

Larissa posiekała czosnek i bazylię, a potem pokroiła pomidory. Oliwa skwierczała na żelaznej patelni na wielkim piecu. Kuchnię wypełniły wesołe śmiechy, miłe ciepło i mocna woń przypraw. Miała wrażenie, że oboje już od wielu lat wiodą w tym domu szczęśliwe życie.

Jack z wprawą znamionującą długą praktykę wrzucił wszystkie produkty do rondla, a na koniec wylał całą mieszaninę na świeży gorący makaron. Larissa bez pytania zaniósła pełne talerze na stół, jakby obydwójce wykonywali te rutynowe czynności już tysiące razy. Nieco zszokowana uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie dzieliła takiej powszedniej intymnej bliskości z nikim, a już na pewno z żadnym mężczyzną. Ta myśl przejęła ją dreszczem.

- Widzę, że nie po raz pierwszy kroisz warzywa - zauważył Jack.

W zwykłych okolicznościach potraktowałaby tę uwagę podejrzliwie, ale nie dzisiejszego wieczoru, nie w tej jasno oświetlonej, przytulnej kuchni, w której zapominało się o burzy szalejącej za oknami. Nie teraz, kiedy przy prostym drewnianym stole jadła posiłek, który pomogła przygotować, a siedzący naprzeciwko niej mężczyzna spoglądał na nią takim wzrokiem, jakby był jej wymarzonym kochankiem.

Jeśli uda jej się chłonąć tę chwilę spoza czasu i zapomnieć o tym, co przed momentem wydarzyło się między nimi w salome, być może ten jeden jedyny raz nie będzie musiała niczego udawać i zdoła po prostu być naprawdę sobą.

- Odkąd sięgam pamięcią, niczego nie gotowałam - oznajmiła i urwała z obawy, że Jack nazwie ją rozpieszczoną bogaczką.

Obrzucił ją tylko przeciągłym spojrzeniem. Jego urodziwa twarz miała nieprzenikniony wyraz. Larissa przełknęła nerwowo. Jack fascynował ją znacznie bardziej, niż powinien. Dla własnego bezpieczeństwa nie powinna była tu przychodzić.

- Moja matka miała gospodynię w naszym domu we Francji - powiedziała, sadząc się wygodniej na ciężkim drewnianym krześle. - Ta kobieta o imieniu Hilaire była bardzo porywcza i tyranizowała nas wszystkich.

Popatrzyła na stojące przed nimi szerokie porcelanowe talerze z wesołymi jasnoniebieskimi i żółtymi wzorami, charakterystycznymi dla regionu Prowansji. Poczula się prawie, jakby się znalazła po drugiej stronie Atlantyku we francuskim *château* wraz ze swą milczącą chorowitą matką, pod lazurowym niebem, pośród platanów i lawendowych łąk. Niemal usłyszała poirytowane mamrotanie Hilaire.

Spojrzała w czarne oczy Jacka i z jakiegoś powodu ogarnął ją swobodny, beztroski nastrój.

- Gospodyni uważała, że każda kobieta powinna umieć przyrządzić przyzwoity posiłek - dodała.

Mimo wszystko wspominała z sentymentem okres swojego dzieciństwa, kiedy spędzała nieskończenie długie godziny w ciasnej kuchni z Hilaire. Przynajmniej ktoś interesował się nią na tyle, by chcieć ją czegoś nauczyć i skorygować jej błędy. Później boleśnie przeżyła wyprowadzkę z Prowansji i rozstanie z gospodynią, chociaż nigdy nie przyznała się do tego nawet przed sobą. Od tego czasu jej życie już na zawsze pozostało puste, niezakorzenione, w pewnym sensie martwe.

Pod wpływem tej myśli łzy zakręciły jej się w oczach.

Jack z nikłym uśmiechem ujął widelec.

- Moja matka była takiego samego zdania - powiedział cicho, z wahaniem, jakby, podobnie jak Larissa, obawiał się zanadto odsłonić. - Mówiła, że każdy z jej synów musi umieć w życiu zatroszczyć się o siebie. - Uśmiechnął się szerzej. - Przynależała w każdym calu do rodu Endicottów, tak samo jak mój dziadek. Dlatego wprawiały ją w zakłopotanie „ekscesy rodziny Suttonów”, jak je nazywała.

- A ty? - spytała Larissa. - Jesteś kimś pomiędzy purytańskimi Endicottami i rozrzutnymi Suttonami, nieprawdaż?

Pamiętała Jacka młodszego o kilka lat, sławnego, beztroskiego playboya. Jeździł niemożliwie drogimi samochodami i wydawał niewyobrażalne sumy na urządzenie wy-

stawnych przyjęć. Był taki jak wszyscy ci tak zwani „przyjaciele” z ich kręgu towarzyskiego.

Zjadła trochę makaronu i westchnęła z rozkoszą. Jego smak sprawił, że zapomniała o zimnie, deszczu... i o swoim gniewie.

Jack posłał jej zniewalający uśmiech najbardziej wziętego kawalera w Ameryce, a potem nieoczekiwanie jego twarz stężała w nieprzeniknionym wyrazie.

- Ludzie muszą się zmieniać - powiedział dziwnym tonem. - Nie mają innego wyjścia.

- Większość ludzi nigdy się nie zmienia - zaproponowała. - Nie chcą niczego zmienić ani w sobie, ani w swoim życiu.

- Zatem są jak dzieci - stwierdził Jack i nabrał makaron na widelec. - Człowiek dorosły musi przyjąć odpowiedzialność za siebie i robić to, czego się od niego oczekuje. Jeśli to wymaga zmian, należy je przeprowadzić. To się nazywa dojrzewanie.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś budzi się pewnego ranka i ni stąd, ni zowąd postanawia się zmienić - rzekła Larissa, ostrożnie dobierając słowa. - Bodźcem do podjęcia takiego ryzykownego kroku musi być jakieś dramatyczne osobiste przeżycie. - Przeżyła następny kęs. - Nikt nie lubi zmian i nie decyduje się na nie, jeśli może ich uniknąć.

Jack przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, a potem zamrugał i napięcie między nimi znów zelżało. Zaczęli rozmawiać o innych rzeczach - o historii wyspy, o wakacjach z dzieciństwa i tym podobnych niewinnych kwestiach. Po skończonej kolacji Larissa zaniósła naczynia do zlewu, a kiedy się odwróciła, Jack stał tuż za nią. Zbyt blisko. Pochylił się i oparł ręce o kontuar po obu jej bokach, jakby ją więził.

Wiedziała, że powinna uciec albo przynajmniej zaprotestować, lecz tylko wpatrywała się w niego, a krew płonęła w jej żyłach jak rozpalona lawa.

- A czy ty się zmieniłaś, Larisso? - zapytał cicho. - Czy właśnie to usiłujesz dać mi do zrozumienia?

Zadrżała, gdyż znów opadły ją napięcie i strach. Jak mogła zapomnieć, jakim wielkim zagrożeniem jest dla niej ten mężczyzna? Czy fantazjowanie o zadawnionej zażyłości między nimi kompletnie zaćmiło jej zdrowy rozsądek?

- Nie zamierzam składać żadnych tego rodzaju pompatycznych, bezpodstawnych deklaracji - oświadczyła. - Ktoś, kto rozgłasza wszem i wobec o swojej wielkiej przemianie, najczęściej w ogóle się nie zmienia.

- Owszem - zgodził się. - Ale nie każdy pogubił się w życiu tak bardzo jak ty, prawda?

Ta bezceremonialna uwaga wzbudziła w niej gniew. Na zakończenie tego miłego wieczoru miała prawo spodziewać się po Jacku czegoś lepszego.

- Oczywiście, że nie - przyznała, desperacko usiłując się opanować. - Jestem uosobieniem życiowej katastrofy. Dzięki, że mi o tym przypomniałeś.

Dlaczego miała wrażenie, że jej twardy pancerz ochronny pękł, a przynajmniej się wyszczerbił? Z powodu jednej kolacji? Jack podczas tego wieczoru nie był nawet uprzejmy, tyle że powstrzymał się od jawnych złośliwości. I to wystarczyło, żeby znowu straciła dla niego głowę? Jakież to żałosne!

Sprawił, że przez chwilę uwierzyła w mrzonki, za dużo sobie przypominała, zanadto się odsłoniła, zbyt wiele czuła. Czyż nie przed tym właśnie uciekła pięć lat temu? W pewnym sensie to tamten weekend z Jackiem natchnął ją myślą, by z wyrachowaniem wdać się w pozbawiony miłości, bezduszny związek narzeczeński z Theo.

- Dlaczego pragnę uwierzyć we wszystko, co mi mówisz dzisiejszej nocy? - wyszeptał. Przynal się bliżej, a Larissa natychmiast uległa jego męskiemu urokowi. - A jeśli nie jesteś taka zła, jak o tobie myślę, to czemu nie bronisz się przed moimi oskarżeniami?

Zaśmiała się z przymusem.

- Czyż ktoś sławny nie powiedział: „Nigdy się nie broń i niczego nie wyjaśnij”? - rzuciła lekkim tonem, choć wiele ją to kosztowało.

- Skoro nie chcesz się bronić, to przynajmniej wyjaśnij - nalegał.

Jakaś część niej rzeczywiście pragnęła wyjaśnić mu wszystko. Ale to szaleństwo! Czyżby sądziła, że Jack ją ocali? W głębi duszy wiedziała, że tym razem sama musi siebie uratować.

- Larisso... - rzekł miękko i pogładził ją po twarzy, a potem zanurzył dłonie w jej włosach.



Tak bardzo obawiała się tego mężczyzny. Zarazem czuła się przy nim niezwykle pobudzona.

- Jeśli wiesz się pogmatwane życie - powiedziała - zawsze znajdą się ludzie, którzy cię znienawidzą. I nie ma na to rady. - Wpatrzyła się w jego oczy. Wywierały na nią hipnotyczny wpływ. Miała wrażenie, że w nich tonie. - Można tylko nie zwracać na nich uwagi, żyć dalej i starać się, żeby jak najmniej cię zranili.

Jack przyciągnął bliżej jej głowę. Wiedziała, że powinna się odsunąć, opuścić ten dom. Była zbyt słaba, by oprzeć się pokusie, jaką Jack zawsze dla niej stanowił. Toteż wspięła się na palce, przywarła do niego i przycisnęła usta do jego ust.

TLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ten pocałunek przeniknął ją całą na wskroś. Upajała się nim i zapragnęła Jacka. Objął ją mocno i całował bez końca.

To było dla niej zbyt wiele, a zarazem nigdy nie będzie miała dosyć. Chciała dotknąć jego nagiego ciała. Wsunęła drżące z podniecenia dłonie pod jego sweter i pogładziła twarde, umięśniony brzuch. Żar skóry Jacka przeniknął ją na wskroś i niemal sparzył.

Wymamrotał jej imię, a potem podniósł i posadził na krawędzi zlewu. Instynktownie objęła nogami jego biodra i przywarła do niego. Miała wrażenie, że zetknięcie ich ciał stało się zapłonem, który wywołał eksplozję namiętności w nich obojgu. Zatraciła się w bliskości Jacka i w jego pocałunkach.

Zalał ją rwący potok chaotycznych wspomnień, które nazbyt długo tłumiła. Wydobyla się z niego z powrotem ku terażniejszości i serce zabiło jej mocno, gdy poczuła pieśczoć Jacka. Pod jego palącym dotykiem topniała i płonęła jeszcze goręcej.

Jednocześnie w głębi duszy wiedziała, że ulegając tej pokusie popełnia straszliwy błąd, za który przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Jednak nie potrafiła ani nie chciała się zatrzymać. Zawsze miała skłonność do autodestrukcji, ale teraz przynajmniej była przekonana, że to, co przeżywa, jest warte późniejszego cierpienia. Toteż zamiast czynić sobie wyrzuty, przywarła mocniej do Jacka i skłoniła go, żeby ściągnął sweter przez głowę. Zaparło jej dech na widok jego muskularnego torsu, jakby rzeźbionego w marmurze, a jednak gorącego i gładkiego pod jej dłońmi.

On cię zniszczy, ostrzegł ją wewnętrzny głos. Ale czyż jej życie i tak już nie legło w gruzach? Poza tym miała wrażenie, że to, co się teraz dzieje pomiędzy nimi, jest nieuniknione i być może zdecydowało się już podczas tamtego weekendu przed pięcioma laty.

Nie mogła zmusić się, by czegokolwiek żałować, gdy teraz upajała się magicznymi pocałunkami i pieśczoćmi Jacka. Mocniej oplótła nogami jego biodra. Poczuła jego podniecenie i zalała ją potężna fala namiętnego pożądania. Jack gwałtownie wciągnął powietrze, a ona jęknęła głośno, wtuliła głowę w jego twardą klatkę piersiową i smako-

wała językiem słonawą nagą skórę. Jack był szczupły, lecz atletycznie zbudowany. Doskonały - zaśpiewało w niej coś, jakby wznosiła modlitwę do bogów, których zawiodła już dawno temu. - Ten mężczyzna jest doskonały.

- Rozbierz się - powiedział cichym głosem, w którym wibrowało to samo pragnienie, które ją przepelniało.

Jego słowa i pieszczoty sprawiały, że czuła się inną kobietą - żywszą, bardziej promienną, godną pożądania. Przez lata sądziła, że jej życie już zawsze będzie miało ten sam odcień posępnej szarości. Teraz, przy Jacku, jaśniała.

Spoglądał na nią czarnymi oczami płonącymi namiętnością. Jej ciało zareagowało zmysłowym pobudzeniem. Serce biło w szaleńczym rytmie. Nie pamiętała, by kiedykolwiek pożałowała kogoś tak bardzo jak jego.

Z prowokacyjnym uśmiechem uniosła ręce i czekała. Oczy Jacka błysnęły jeszcze intensywniejszym ogniem. Rozmyślnie powoli ściągnął jej sweter przez głowę, odsłaniając piersi. Natychmiast ujął je w dłonie i zaczął kciukami delikatnie drażnić sutki. Ciało Larissy przeszły prąd cudownej rozkoszy.

Potem Jack pieścił jej sutki wargami i językiem. Jęcząc odrzuciła głowę do tyłu. Przywarła do niego, gdyż cały świat zawirował wokół.

Oderwał wargi od jej piersi.

- Zaczekaj - rzekł władczym tonem.

Podniósł ją wyżej, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję, wciąż obejmując nogami jego biodra. Zanim się zorientowała, Jack położył ją na stole. Leżała na plecach, wpatrując się w niego. Powiodł dłońmi wzdłuż jej nóg i ściągnął jej błyszczące czarne buty, a potem dzinsy i majtki.

Przez chwilę tylko wpatrywał się w nią oczami płonącymi pożądaniem. Larisę przebiegł dreszcz rozkosznego oczekiwania. Miała wrażenie, że ostatnie pięć lat od poprzedniej miłosnej nocy z Jackiem spędziła w letargu i dopiero teraz znów zbudził ją do życia. Wstrząsnęła nią siła i głębia własnego pragnienia, potężnego jak fala oceanicznego przyływu. Czuła lęk, ale też fascynację, i nie chciała przestać. Usiadła i nie odrywając od niego wzroku, rozpięła guzik i suwak jego dzinsów. Za oknami szalała burza, lecz Larissa słyszała tylko ich nierówne, przyspieszone oddechy.

- Nie teraz - powstrzymał ją zachrypniętym głosem, gdy zaczęła pieścić jego pobudzoną męskość.

Pochylił się i znów pocałował ją namiętnie. Jego dłoń musnęła jej pępek, a potem przesunęła się niżej, między uda.

Nareszcie! Larissę ogarnął ogień, gdy jego palce cudownie penetrowały jej sekretne zakamarek.

- Jack... - wydyszała.

W głowie miała zamęt, gdy zalewały ją fale erotycznych doznań. Resztką rozsądku pojmowała, że pożądanie tego mężczyzny jest jak trucizna w jej żyłach, gdyż im bardziej go pragnie, tym bardziej on jej zagraża. Ale nie chciała przerwać tego, co teraz robił. Rozkosz, jaką odczuwała, była niemal nie do zniesienia, a jednocześnie wiedziała, że nigdy w pełni się nią nie nasyci. Rozłożyła nogi i wygięła ku niemu biodra.

Jack wszedł w nią, pewnie i zdecydowanie. Zaczekał, aż Larissa znów otworzy oczy, i dopiero wtedy zaczął się poruszać, wciąż się w nią wpatrując. Była jeszcze piękniejsza, niż ją pamiętał i wymarzył sobie przez wszystkie te lata. Tak straszliwie jej pragnął...

Zaczęła cicho jęczeć. Przyspieszył rytm, aż wreszcie wykrzyknęła jego imię. Wyprężył się i oboje stoczyli się w przepaść nieświadomości, gdy eksplodowała w nich oślepiająca rozkosz.

Kiedy Jack odzyskał oddech, wycofał się, by móc znów przyglądać się Larissie. Boże, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał! Znów poczuł przyływ pożądania.

Odsunął się nieco i zapiął spodnie, których wcześniej do końca nie zdjął. Larissa włożyła majtki, a wtedy wziął ją na ręce i zaniósł po schodach na górę.

- Nie próbuj się sprzeciwiać - rzucił szorstko w połowie drogi. - Zostajesz.

W jej zielonych oczach zamigotał niepokój, ale tylko przygryzła wargę i nic nie powiedziała.

Zaniósł ją do swojego ulubionego obszernego apartamentu na piętrze, którego trzy wykuszowe okna wychodziły na ocean. Położył ją na wielkim łóżku z baldachimem wspartym na czterech kolumnkach. Znów zamknęła oczy i przeciągnęła się jak kotka.

„Ona jest moja”. Ta myśl, głęboka i prawdziwa, przeniknęła Jacka niczym niski, głęboki dźwięk dzwonów starego kościoła na wyspie.

Usiadł obok i bez wahania wyjął z szuflady komódki ciężkie stalowe kajdanki. Zamknął jedną obręcz na przegubie Larissy, a drugą na żelaznym wezglowiu łóżka.

Larissa wolno otworzyła oczy, lecz nie okazała szczególnego zaniepokojenia.

- Perwersyjne - skomentowała cicho.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - odparł.

- Powiedział człowiek, który przykuł mnie do łóżka - rzuciła sucho.

- Nie chcę, żebyś odeszła bez słowa. - Spojrzał jej przenikliwie w oczy. - Tak jak ostatnim razem.

Wyraz twarzy Larissy nie zmienił się, ale Jack wyczuł w niej lekkie napięcie. Poruszyła ręką i kajdanki brzęknęły o żelazną ramę.

- Większość mężczyzn po prostu by poprosiła - powiedziała.

- Ale ja jestem inny - mruknął. - A ty też nie jesteś zwykłą kobietą.

- A jaka jestem? - spytała spokojnie, jakby nieraz leżała naga i przykuta do łóżka.

Nie chciał się nad tym zastanawiać.

Poślubi kobietę, którą zaaprobuje jego dziadek: przewidywalną, rzetelną i nudną. Będzie wiódł z nią życie wypełnione obowiązkami i poczuciem odpowiedzialności i już nigdy nie doświadczy takiej gwałtownej namiętności jak dzisiejszej nocy. Wmawiał w siebie, że właśnie takiego życia pragnie ponad wszystko.

Teraz ta perspektywa dojrzałości wydawała mu się szalenie odległa. Istniała dla niego jedynie Larissa, leżąca nago w jego łóżku i czekająca na niego.

- W tym momencie jesteś moja - odpowiedział.

Te słowa zabrzmiały jak obietnica, której nie zamierzał dotrzymać... ani w ogóle składać.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tamtej długiej, namiętnej nocy Jack wreszcie rozkuł Larissę z kajdanek. Jednak wiele dni później, wciąż przebywając na wyspie i wciąż będąc pod jego urokiem, pomyślała, że więzy, jakimi ją do siebie przywiązał, okazały się znacznie trudniejsze do zerwania.

Wtedy nazajutrz rano obudziła się ożywiona i tryskająca energią, lecz emocjonalnie zdezorientowana. Pragnęła jak najszybciej wrócić do swojego pokoiku w gospodzie i wziąć kojącą kąpiel. Musiała przemyśleć tyle spraw. Nie była pewna, czy upojna noc spędzona z Jackiem nie zmieniła jej w inną osobę.

Wyśliznęła się z jego objęć i przesunęła na skraj łóżka, choć kusiło ją, by ponownie wtulić się w niego i zapomnieć o całym świecie. Przyjdzie na to czas później, obiecała sobie. Kiedy minie burza uczuć, a płomień namiętności nieco przygaśnie.

Lecz w tym momencie Jack wyciągnął rękę i przygarnął ją z powrotem do siebie.

- Mam znowu przykuć cię do łóżka? - wymamrotał głosem jeszcze zaspanym, a jednak uwodzicielskim.

- Czy tym razem poprosisz o pozwolenie? - zripostowała, siląc się na beztroski ton.

Przytulił ją jeszcze mocniej do swego twardego, muskularnego ciała. Larissę przebiegł zmysłowy dreszcz. Wiedziała, że dla własnego bezpieczeństwa powinna zadowolić się tą jedną nocą, strącić jego ramię, wstać i wyjść. Zamiast tego pochyliła głowę i pocałowała go w usta, jakby nieświadoma, że trawiący ich ogień namiętności przyniesie jedynie zniszczenie.

- Zostań - mruknął Jack, pieszcząc jej piersi. - Przynajmniej na śniadanie.

- Nie jadam śniadań - zdołała wyjąkać, choć jej ciało aż wrywało się do niego.

Położył się na niej. Na jego twarzy pojawił się napięty wyraz pożądania.

- W takim razie będziemy musieli wymyślić coś innego - powiedział z wargami przy jej szyi.

A potem zaczęli się kochać i Larissa na długi czas przestała myśleć o czymkolwiek.



Nie wypuścił jej od siebie ani tego dnia, ani następnego. Na trzeci dzień wybrali się do lasu na krótki spacer, który skończył się tym, że Jack tam również ją posiadał z zapierającą dech delikatnością i wprawą. Gdy wciąż jeszcze drżała z rozkoszy, wsadził ją do swojego SUV-a i bez słowa wyjaśnienia zawiózł do wioski, a potem zaprowadził do jej pokoiku na mansardzie gospody. Larissę ogarnęło nagle przerażające podejrzenie, że Jack zamierza ją porzucić tuż po ich namiętym intymnym zbliżeniu.

Zresztą na nic innego nie zasłużyła, skoro zachowała się wobec niego tak nieostrożnie i głupio. A myślałaś, że jak to się skończy? - zapytała siebie gorzko w duchu.

- Spakuj swoje rzeczy - polecił, spoglądając na nią chłodno.

- Czy przypłynął prom? - spytała, dumna z tego, że głos jej nie zadrżał. - Wyrzucasz mnie z wyspy, jak zapowiedziałeś?

Przechylił głowę lekko na bok i obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Czy właśnie tego chcesz? - zapytał beznamiętnym tonem. - Opuścić wyspę, by odzyskać bezpieczny spokój?

- Sądziłam, że ten prom płynie do Bar Harbor - powiedziała. - Uważasz, że tam znajdę spokój i bezpieczeństwo?

- Zaczynam pojmować twoją strategię - powiedział nieufnie i Larissę ogarnęło złe przeczucie. - Na każde pytanie odpowiadasz pytaniem i nie ujawniasz uczuć ani pragnień. A świat bierze to za dobrą monetę, nieprawdaż?

Zdenerwowała się, że tak łatwo ją rozszyfrował.

- Za to tobą świat przestał się już interesować, odkąd stałeś się nudnym porządnym obywatelem - odparowała.

Jego czarne oczy zwięzły się i Larissa zadała sobie pytanie, czy aby nie prowadzi z nim zbyt niebezpiecznej gry.

- Odbijasz piłeczkę albo zmieniasz temat - stwierdził cicho. - Robisz tak, ilekroć rozmowa wymaga od ciebie odsłonięcia się. Zawsze jedynie reagujesz, a nigdy nie przejmujesz inicjatywy. - Znów wbił w nią spojrzenie, które zdawało się przenikać ją na wylot. - Dlaczego? - zapytał, wciąż spokojnym, opanowanym tonem, co jednak było gorsze niż kipiący gniew.

Larissa właściwie powinna poczuć panikę, chociaż nie tyle z powodu jego słów, co raczej z lęku przed własnym samobójczym pragnieniem, by zaufać temu mężczyźnie i zwierzyć mu się. Znowu kusiło ją, by pograć się w iluzji.

- Ty mi powiedz - odparła i wzruszyła ramionami z udawanym znudzeniem. - Podobno chcę cię usidlić jako mojego nowego narzeczonego. Czy to nie najlepsza metoda? Czyż nie dałeś się zwieść?

- Naturalnie - rzekł chłodno. Zabolęło ją to, lecz nie dała nic po sobie poznać. - Chodzi o koncern Whitney Media i rodzinną fortunę. Jak mogłem choćby na chwilę o tym zapomnieć?

Nagle Larissę ogarnęło mroczne podejrzenie. Dlaczego on aż tak bardzo interesuje się tym koncernem i wciąż porusza ten temat? Czy jest taki sam jak cała reszta? Nawet Theo zrobiłby wszystko, by przejąć jej udziały w tej firmie. Ta myśl ją zabolęła, chociaż powiedziała sobie, że mogła się tego spodziewać.

- Jeśli chcesz mnie opuścić, Jack - rzekła przeciągle - wystarczy to tylko powiedzieć. Nie musisz przeprowadzać całkowicie zbędnej wiwisekcji moich wewnętrznych demonów. - Westchnęła teatralnie. - Uwierz mi, zajęłoby ci to całą wieczność.

Oczy mu pociemniały, gdy mierzył ją badawczym spojrzeniem. Larissa zmusiła się, żeby na pozór zachować spokój i niewzruszoność, podczas gdy jej ciało gwałtownie reagowało zmysłowo na tego mężczyznę.

- A gdybym chciał, żebyś została? - rzucił, a ona stłumiła westchnienie ulgi.

- Trudno uwierzyć, że jesteś tym samym człowiekiem, który przykuł mnie kajdankami do łóżka - rzekła po krótkim milczeniu, gdy już miała pewność, że głos jej nie zawiedzie. - Spodziewałam się po tobie znacznie mniej melodramatyzmu. Powiedz wprost, czy chcesz, żebym została, czy nie.

- Nic w związku z tobą nie jest proste - odparł.

- Za to ty zachowujesz się całkiem jasno i zrozumiale - rzuciła z drwiącym śmiechem.

- Chcę, żebyś się spakowała, wsiadła do samochodu i wróciła ze mną do mojego domu i łóżka - powiedział celowo nazbyt opanowanym tonem. W jego czarnych oczach

błyszczała wciąż ta sama niepohamowana namiętność, na której widok Larissie zabrakło oddechu. - Czy to dla ciebie wystarczająco jasne? - zapytał z uśmiechem.

Larissa, zwinięta na wygodnej sofie w salonie rezydencji Scatteree Pines i otulona grubą zieloną narzutą, chroniącą ją przed wieczornym chłodem, zdała sobie sprawę, że straciła rachubę, ile już dni spędziła z Jackiem. Na jego polecenie opuściła gospodę i od tego czasu niemal nie zastanawiała się nad tym, co właściwie oznacza jej pobyt u Jacka Suttona i na ile ją zmienił. Czy kompletnie zatraciła się w tym mężczyźnie?

Obawiała się, że zna odpowiedź, a jedynie nie dopuszcza jej do siebie. Miała wrażenie, że pieszczoty Jacka nie tylko obudziły w niej świadomość własnego ciała i zmysłowych potrzeb, lecz także nauczyły ją nadziei. I właśnie to nappełniało ją największym lękiem.

Teraz słyszała dobiegający z holu jego głos i z powściągliwego, wymuszenie uprzejmego tonu poznała, że rozmawia przez telefon ze swoim surowym, wiecznie strofującym go dziadkiem. Sama przybierała podobny ton w kontaktach z ojcem.

Myśl o Bradfordzie i jego bezlitosnym potępieniu przejęła ją nagłym chłodem. Ojciec regularnie trzy razy w tygodniu zostawiał wiadomości w jej skrzynce głosowej, lecz od dwóch tygodni nie mogła zdobyć się na to, by je odsłuchać. Zresztą po co? Znała na pamięć wygłaszaną przez niego listę jej wad i przewin. I tak już w przeszłości poświęciła nazbyt wiele czasu na rozmyślania o ludziach, których zraniła swym autodestrukcyjnym zachowaniem. Przez ostatnich kilka dni myślała wyłącznie o Jacku i o tym, że przy nim może po prostu być sobą.

Kiedy wszedł do salonu, miała dość rozsądku, by nie pytać go o przebieg rozmowy z dziadkiem. Obrzucił ją nieprzeniknionym spojrzeniem, ale nie przystanął przy sofie, tylko podszedł do kominka i szturchnął pogrzebaczem płonące grube drwa. gwałtowniej, niż to było potrzebne. Nieoczekiwanie dla siebie Larissa zapragnęła objąć go i przytulić się do niego, jakby to mogło go pocieszyć. Wiedziała jednak, że i tak by jej na to nie pozwolił.

Przeczuwała, że jej pobyt u Jacka może się skończyć wyłącznie źle. A jednak wciąż tutaj była, zamiast jak najszybciej opuścić wyspę. Jeszcze nie teraz, mówiła sobie, ignorując skurcz lęku coraz mocniej ściskający jej serce.

Ponieważ zasmakowała odrobiny nadziei i nie była w stanie się jej wyrzec - wyrzec się Jacka.

Wiedziała z fatalistycznym poczuciem nieuniknioności, że nieodwołalnie straciła dla niego głowę, być może już od chwili, gdy go ujrzała, a z pewnością wtedy, gdy pierwszy raz ją pocałował.

Przyjrzała mu się, wciąż od nowa podziwiając jego smukłą, atletyczną sylwetkę i niewymuszoną swobodę, z jaką nosił zwykle dżinsy i podkoszulek.

Tutaj jego modne nowojorskie ubrania byłyby nie na miejscu. Zdawał się przynależać do tego domu i tej wyspy, tak jak rosnące wokół wysokie sosny. Widząc go tak zniewalająco przystojnego i pociągającego, Larissa nie miała ochoty zgłębiać swoich pobudek. Pragnęła po prostu pozostać tu na zawsze, poza czasem i światem.

- Mam nadzieję, że przekazałeś ode mnie dziadkowi wyrazy szacunku - odezwała się, ale gdy Jack odwrócił się do niej, spuściła wzrok na czytany ilustrowany magazyn. - Nie widziałam go od wielu lat.

Skrzywił się, a w jego oczach błysnął nieprzyjemny wyraz, który przejął ją dreszczem lęku.

- Czy to jest ostateczny cel twojej gry? - zapytał ostro. - Próbujesz desperacko usiłować mojego dziadka? Powinienem był się domyślić, że prędzej czy później się z tym zdradzisz.

Poczuła się, jakby ją spoliczkował. Musiała przywołać na pomoc długoletnie doświadczenie w tłumieniu emocji, by nad sobą zapanować. Jak mogła aż tak bardzo się przed nim odsłonić, zapomnieć o wszystkich jego bezpodstawnych oskarżeniach? On z pewnością o nich nie zapomniał. Niewątpliwie pociągała Jacka seksualnie, lecz to nie osłabiło jego podejrzliwości wobec niej i jej domniemych ukrytych motywów.

- Zamierzam się wkrótce ożenić - oznajmił nagle chłodno. - Dziadek wyselekcjonował kilka odpowiednich kandydatek i oczekuje, że wybiorę jedną z nich. Domyślasz się zapewne, że nie figurujesz na tej liście?

Larissa miała wrażenie, że jej serce rozdziera się na strzępy. Przez długą chwilę nie była w stanie poruszyć się ani nawet oddychać.

Jack nazwał ją dziwką, a potem ona zgodziła się z nim sypiać. Nic dziwnego, że potraktował ją zgodnie z tym epitetem. Była tak pochłonięta intensywnymi uczuciami, jakie w niej wzbudził, że kompletnie straciła rozsądek i instynkt samozachowawczy. Na myśl o tym ogarnęły ją mdłości, lecz zdołała je jakoś powstrzymać. Powstrzymała też łyzy gniewnej rozpaczy, gdyż płacząc, jeszcze bardziej by się przed nim upokorzyła.

Zdobyła się nawet na wyniosły uśmiech. Wiedziała, że to wyłącznie jej wina, że cały świat - począwszy od paparazzich i przypadkowych przechodniów na ulicy, a skończywszy na jej ojcu i Jacku Suttonie - uważa ją za osobę wiodącą płytkie, lekkomyślne i rozwiązłe życie. Uczyniła wiele, aby wszyscy uwierzyli w taki właśnie obraz Larissy Whitney. Co więcej, sama wierzyła weń aż nazbyt długo.

Dlatego teraz musi wciąż kłamać. I dlatego była wściekła nie na Jacka, tylko na siebie.

- Czy twój dziadek jest samotny? - spytała lekkim tonem, chociaż w rzeczywistości wstrząsnęło nią, że Jack mógł ją podejrzewać o tego rodzaju wstrętne zamysły. Charles Talbot Endicott był osiemdziesięcioletnim starcem. Zmusiła się, by beztrąsko wzruszyć ramionami, i rzuciła Jackowi zagadkowy uśmiech, kryjąc swoje prawdziwe uczucia. - Zawsze lubiłam starszych mężczyzn. I myślę, że stałabym się cudowną wiosną dla późnej jesieni jego życia.

Obrzucił ją ostrym spojrzeniem, ale wołała to od jego uwodzicielskiego męskiego czaru, wobec którego była całkiem bezbronna.

On cię nawet nie lubi - powiedziała sobie chłodno. - Lubi tylko uprawiać z tobą seks. Nikt cię nie lubi. Nie wolno ci nigdy więcej o tym zapomnieć.

- Zapewniam cię, że mój dziadek nie tknąłby kobiety takiej jak ty nawet trzymetrowym kijem - rzekł Jack z ponurą drwiną.

- Chcesz powiedzieć, kobiety takiej ładnej jak ja? - odparła lekko, nie pokazując po sobie urazy. - Zdziwiłbyś się, czego potrafię dokonać z mężczyznami.

Jack potrząsnął głową. Właściwie powinna być zadowolona, że udało jej się utwierdzić go w niepocholebnej opinii. Może pora pogodzić się z tym, że świat już zawsze

będzie miał o niej jak najgorsze zdanie, bez względu na to, jakich doznałaby duchowych objawień i jak bardzo wewnętrznie by się zmieniła. Jednak w tym momencie nie mogła pogodzić się z faktem, że właśnie ten mężczyzna patrzy na nią tak, jakby była zepsuta do szpiku kości.

Kolejny raz w życiu zapragnęła zniknąć, zapaść się pod ziemię.

- Dziadka ogarnęła ostatnio niezwykła i wysoce podejrzana ochota zacieśnienia rodzinnych więzi - oznajmił nieoczekiwanie Jack rzeczowym tonem. - Chce, żebyśmy w tym roku uczcili razem Święto Dziękczynienia, pierwszy raz, odkąd zachorowała moja matka. Spędzimy je w ściśle rodzinnym gronie, tak aby dziadek mógł dać upust swemu złemu humorowi bez obawy publicznego zszargania dobrego imienia rodu Endicottów.

- Z pewnością on nie ma żadnego powodu, by gniewać się na ciebie - zauważyła Larissa lekkim tonem, choć zaczynało już działać jej na nerwy to własne wieczne udawanie, że nie przejmuje się niczym i nikim, nawet samą sobą. - Jesteś przecież wciele- niem wszelkich cnót, istnym świętym naszych czasów, oddanym bez reszty działalności filantropijnej i innym nudnym dobrym uczynkom. Co mógłby ci zarzucić?

Jack starannie przyrządził sobie drinka i usiadł na sofie naprzeciwko niej, wyciąga- jąc długie nogi. Wyraz jego oczu sprawił, że Larissa miała ochotę skulić się z zakłopotania. Wiedziała, że ten mężczyzna widzi w niej wyłącznie seksualną zdobycz, głupią i lekkomyślną dziwkę, a nie przyzwoitą spadkobierczynię rodzinnej fortuny, która obraca- ła się w tych samych co on wyższych sferach Manhattanu i godna jest tego, by ją poślubić. Ogarnął ją wstyd, ale mimo to dumnie uniosła głowę, jak gdyby przygotowywała się do odparcia ciosu.

Jack pociągnął długi łyk z kryształowej szklanki, a potem zmierzył Larissę zimnym wzrokiem.

- Dziadek znenawidził mojego ojca od chwili, gdy go poznał - powiedział, chociaż Larissa już zaczynała przypuszczać, że w ogóle się nie odezwie i zamierza po prostu zamrozić ją na śmierć swoim lodowatym spojrzeniem. - Błagał córkę, czyli moją matkę, żeby nie wychodziła za niego za męża, lecz ona była młoda i naiwna, a z tego, co mi wiadomo, mój ojciec doskonale potrafił udawać, że jest człowiekiem głębokim, a nie zwy- czajnym kompletnym nieudacznikiem. Poza tym był przystojny i czarujący. Matka mó-



wiła, że kiedy wchodził do pokoju, zdawał się go rozświecić. Jak więc mogłaby mu się oprzeć? - Jack zaśmiał się nieprzyjemnie. - Dopiero znacznie później uświadomiła sobie, że jego jedyną charakterystyczną cechą jest monstrualnie rozdęte ego. Gdyby nie pochodził z rodziny Suttonów i nie dysponował olbrzymim majątkiem oraz wiążącymi się z tym przywilejami - oczywiście ani na jedno, ani na drugie sam nie zapracował - ujrzano by w nim tego, kim w istocie był. - Spojrzał Larissie w oczy. - Czyli oszusta.

Bez mrugnięcia wytrzymała jego spojrzenie, dając do zrozumienia, że pojęła, że Jack uważa ją za nie lepszą od swego godnego pogardy ojca. Jack zmarszczył brwi, spuścił wzrok na trzymaną w dłoni szklankę i podjął:

- Według dziadka byłem od momentu narodzin owocem z zatrutego drzewa. - Twarz wykrzywił mu drwiący, autoironiczny uśmiech. - I przez trzydzieści lat dowodziłem całym swoim życiem, że miał rację. Byłem, jeśli to w ogóle możliwe, osobnikiem jeszcze bardziej bezwartościowym, egoistycznym i zdegenerowanym niż mój ojciec. Potrafiłem zmarnować wszystko, czego tylko się tknąłem.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - spytała ostrożnie.

Znów popatrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było zimne, posępne i bezlitosne. Poczuli się tak jak przed chwilą, gdy bez ostrzeżenia wymierzył jej słowny policzek.

- Ponieważ chcę, abyś zdawała sobie jasno sprawę z tego, co się teraz między nami dzieje - odpowiedział, ciskając słowa jak pociski. - Jedynie matka ślepo we mnie wierzyła, ale zmarła, zanim mogła się przekonać, że nie pomyliła się w tym aż tak bardzo jak wówczas, gdy poślubiła mojego ojca. Dziadek nigdy mi tego wszystkiego nie wybaczył. - Jack pochylił się naprzód i wbił w Larissę wzrok pełen potępienia i furii. - Tego, że zrodziłem się z takiego ojca i że stałem się publicznym zgorszeniem dla rodziny, a swoimi podłymi postępkami nieustannie raniłem matkę. Moje małżeństwo z uczciwą kobietą pochodzącą z dobrej rodziny to dla mnie jedyny sposób, by choćby w części zrehabilitować się w jego oczach.

Wyrzekł to z taką prostotą i swobodą, jakby całkowicie podzielał ten pogląd. Larissa pomyślała, że może rzeczywiście tak jest.

- Nie wiem, jakiej odpowiedzi ode mnie oczekujesz - wymamrotała.

- Uosabiasz wszystko, czym ten starzec gardzi - wyjaśnił Jack z lodowatym błyskiem triumfalnej satysfakcji w oczach. - Jesteś udręką dla swoich rodziców, plamą na rodowym nazwisku, przedmiotem najbardziej skandalicznych nowojorskich plotek. Słyszysz z karygodnego, zdeprawowanego zachowania. Stanowisz dla mojego dziadka istną zmoreę z koszmarnych snów.

Na szczęście Larissa знаła tę śpiewkę na pamięć i dlatego słowa Jacka zabolaly ją mniej, niż powinny, a przynajmniej tak sobie wmawiała.

- Bezużytecznie marnotrawię dziedzictwo rodziny Whitneyów i nie wykazuję dla niego należnej dozy szacunku - dorzuciła. - Stanowię źródło nieustannego utrapienia dla ojca, który znosi to w milczeniu, bez słowa skargi. Jestem bezwstydna, arogancka, krnąbrna, wstrętna, amoralna, głupia i rozwiązła. - Mięśnie jej twarzy zeszywniały, ale zmusiła się do kolejnego uśmiechu. - Widzę, że doskonale mnie znasz.

- Byłem taki sam jak ty - odparł. - Nie rozumiesz? Nie możesz zaszokować mnie żadnym swoim podłym postępkim, ponieważ sam je wszystkie w przeszłości popełniłem - dodał z drwiącym uśmiechem, chociaż w jego oczach zamigotało coś, co przyprawiło Larissę o skurcz serca.

- Chyba nie pojmuję tego subtelnego podtekstu - rzuciła beztriosko, jakby ta rozmowa niewiele ją obchodziła. W rzeczywistości kręciło jej się w głowie i ostatkiem siły woli powstrzymywała gorzkie łzy. - Czyżbyś jednak nie zamierzał mi się oświadczyć? A ja, naiwna, już przygotowywałam ślubną suknię!

- Mnie także nie omamisz - warknął. - Nie wiem, po co tu przyjechałaś, ale zapewniam cię, że nie dopniesz swego celu. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, a mój dziadek nigdy nie pozwoli ci splamić nazwiska Endicottów. Marnujesz tutaj tylko swój czas i to twoja strata, ale marnujesz też mój.

- Cóż za uroczy obraz odmalowałaś - rzuciła sarkastycznie Larissa.

Obawiała się, że głos ją zawiedzie, ale powiedziała sobie, że przetrwała już gorsze rzeczy. Cóż znaczy odrobina więcej cierpienia? Nie powinna tylko była ulec swojemu pragnieniu. To zawsze kończyło się dla niej źle.

- Powiedziałem po prostu prawdę - odparował. - Nie rozumiem jednego. Jesteś niewątpliwie inteligentna i samoświadoma, chociaż bardzo starasz się to ukryć. Co więc

zamierzasz osiągnąć, prowadząc takie płytkie, puste i bezwartościowe życie? Przecież to nie ma sensu.

Larissa wiedziała, że istnieje wiele różnych prawd i żadna z nich nie jest prosta. Kłębili się w niej gniew, żal i tak dobrze jej znany wstyd. Miała ochotę potrząsnąć Jackiem i krzyknąć, żeby zobaczył ją taką, jaką zaczęła sama siebie widzieć. Lecz on nie był gotowy stawić czoła tej prawdzie. I Larissa uświadomiła sobie, że tak jest lepiej, bez względu na to, jak wielki sprawia jej to ból. Byłoby o wiele gorzej, gdyby ukazała mu prawdziwą siebie, a on by ją odtrącił. Woląла pozostawić tę sekretną prawdę o sobie bezpiecznie ukrytą.

- Pokrzyżowałeś wszystkie moje wspaniałe plany - powiedziała fałszywie znudzonym tonem, gdy cisza między nimi stała się już nie do zniesienia. Potem przesadnie przewróciła oczami. - I co ja teraz zrobię?

- Myślisz, że to żart? - rzucił ostro. - Nie powinnaś w ogóle zjawić się na tej wyspie. A ja nie powinienem ulec temu, co, jak wiem, było z mojej strony jedynie pożalowania godną fizyczną słabością. - Zacisnął usta. - Wiedziałem, jaka jesteś, a jednak sprowadziłem cię do siebie.

- Jestem wcieloną hańbą - powiedziała spokojnie i usiadła sztywno wyprostowana. - Przestroga dla młodych bogatych dziewcząt na całym świecie. Symbolem zła wszystkich innych ludzi. Kiedy mnie widzą, nie muszą czuć się już tacy okropni, ponieważ jestem gorsza od nich. Nawet ci, którzy spadają na samo dno występku, mogą się pocieszyć, że ja pukam od spodu.

- Przestań - rzucił Jack szorstko, z wysiłkiem, jakby jej słowa jego również raniły. - To w niczym nie pomoże.

- Powiedziałam po prostu prawdę - odparła, powtarzając zwrot, którego przed chwilą użył. - A oto jeszcze kilka innych prawd. Nienawidzisz siebie za to, że mnie pożądasz, i za to, że jest nam ze sobą dobrze w łóżku. Nienawidziłeś mnie przez wszystkie te lata, ponieważ zmusiłam cię, żebyś zobaczył w sobie rzeczy, których nigdy nie chciałeś widzieć.

Dostrzegła, że Jack zmaga się ze sobą. Chciał odeprzeć jej oskarżenia, odwrócić ich ostrze przeciwko niej, a jednocześnie jej pożądał. Pragnął jej tak samo jak ona jego:

gwałtownie, przemożnie i bezrozumnie. Widziała to pragnienie wypisane na jego twarzy, chociaż starał się je zamaskować. Żałowała, że samo owo pragnienie nie może niczego zmienić.

- Do czego zmierzasz? - spytał napiętym tonem.

- Ty sam mnie tu zaprosiłeś - przypomniała mu zirytowana, bardziej jednak na siebie niż na niego. Wstała z sofy. - Z radością opuszczę ten dom. Nie będę siedzieć tutaj i patrzeć, jak rozczulasz się nad sobą.

Jack również się podniósł i nagle stanęli zbyt blisko siebie. Larissa nie wiedziała, czy pragnie go uderzyć, czy pocałować - ani co bardziej by ją zraniło. Przede wszystkim zaś nie potrafiła poradzić sobie z tym, że nawet teraz, wiedząc jak nisko ten mężczyzna ją ocenia, wciąż go pożądała.

Zdradziła siebie. Znowu.

Popatrzył na nią z udręką, a potem powiódł palcem po jej policzku. Delikatność i skryta czułość tego gestu przyprawiły Larissę o skurcz serca.

- Do diabła - rzekł szorstko. - Ale mimo to nie chcę, żebyś wyjechała.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jack czuł się kompletnie zdezorientowany.

Pragnął uniknąć kolejnej trudnej rozmowy z dziadkiem, która uświadomiłaby mu własną niekonsekwencję. Leżał na podłodze przed płonącym kominkiem, wciąż spleciony w miłosnym uścisku z Larissą. Powinien był wyrzucić ją, tak jak zamierzał, lecz zamiast tego kochał się z nią namiętnie. A teraz wtulała twarz w jego szyję i jej oddech powoli uspokajał się po namiętnych uniesieniach.

Nie powinien czuć się przy niej tak... spokojnie.

Pogłaskał ją po plecach, upajając się jedwabistą gładkością jej skóry. Już ponownie jej pożądał, niczym napalony nastolatek. Pociągała go jak żadna inna kobieta, mimo że wciąż jeszcze nie przyznawał się do tego nawet przed sobą. Larissa zauroczyła go, chociaż wiedział, że jej czar okaże się dla niego zgubny.

Lekko poruszyła się przy nim, zamruczała coś miękko i uniosła głowę. Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały. Zielone oczy Larissy, w których złościście lśnił ogień namiętności, wywierały na niego niemal hipnotyczny wpływ.

Przygryzła dolną wargę, a potem wstała i okryła się jedną z narzut, które leżały zmięte wokół nich. Wolną ręką przeczesła lśniące czarne włosy, nadające jej tak uroczony eteryczny wygląd.

Jack przyglądał się jej w migotliwym blasku ognia w kominku. Usiłował pojąć, dlaczego wciąż są ze sobą, skoro od momentu ich spotkania na wyspie zamierzał jedynie zdemaskować jej nieczne intrygi. Uświadomił sobie, że widząc jej przepiękne bujne kształty coraz trudniej mu zatrzymać w pamięci wstrętą prawdę o niej.

Pragnął jej od lat - od tamtego przeklętego weekendu, gdy kochali się po raz pierwszy. Od tamtej pory nigdy nie zdołał całkowicie unicestwić w sobie tego zgubnego pragnienia i teraz zastanawiał się z niepokojem, czy w ogóle kiedykolwiek mu się to uda.

- Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz? - spytała niskim, zmysłowym głosem. - Oczekujesz, że zmienię się w potwora, za jakiego mnie uważasz?

Poczuł wzbierające w nim jakieś mgliste uczucie, którego nie potrafił nazwać. Ogarnęło go zakłopotanie. Przy Larissie czuł się bezradny, tracił swój słynny czar, swo-

bodę i pewność siebie. Umiał myśleć wyłącznie o niej - o jej pięknej twarzy, fascynującym gibkim ciele...

Uzależniła go od siebie niczym narkotyk i podobnie jak każdy narkotyk, zniszczy go, jeśli jej na to pozwoli. Nie ma co udawać, że jest inaczej.

- Nie jesteś potworem - odrzekł, otrząsając się z tych rozmyślań.

Usiadł, opierając się plecami o najbliższą sofę.

- A zatem kim jestem? - zapytała cicho.

Usłyszał w jej głosie dziwną, tęskną, niemal smutną nutę, która potrafiła w nim czuć strunę. Właśnie o to jej chodziło, powiedział sobie trzeźwo. Nie wolno mu ani na chwilę zapomnieć, że wszystko w tej kobiecie jest wykalkulowanym oszustwem. Czemu tak trudno mu to zapamiętać? Nagle mimo woli przypomniał sobie wszystkie kłamstwa, którymi zarzuciła go tamtej pierwszej nocy.

- To ty mi powiedz - odparł. Dlaczego nie zagrać w jej grę, aby przekonać się, jak daleko Larissa się posunie? Przecież właśnie o to od początku mu chodziło. - Czyż nie twierdziłaś, że jesteś w trakcie zasadniczej przemiany duchowej?

Rzuciła mu ostre spojrzenie, lecz po chwili się uśmiechnęła.

- Owszem, tak powiedziałam - przyznała zbyt łagodnym tonem, który wzbudził w Jacku podejrzliwość.

- Więc opowiedz mi o tej swojej tajemniczej metamorfozie.

Nie zareagowała na jego uszczypliwy ton. Odwróciła się tylko plecami do ognia, wciąż z tym przeklętym uśmiechem przyklejonym do warg. Nienawidził tego uśmiechu. Zapragnął ujrzeć prawdziwą Larissę. Wiedział, że ona gdzieś tam istnieje, zagrzebana głęboko pod stertą fałszu i trików. Tak świetnie potrafiła stawiać dymne zasłony, opowiadać wszystkie swoje kłamstwa. A jednak raz już ujrział cień jej prawdziwego uśmiechu i pragnął zobaczyć go ponownie.

Pragnął. Na tym właśnie polegał problem. W odniesieniu do tej kobiety pragnął zawsze zbyt wiele - chciał zobaczyć ją taką, jaka w rzeczywistości nigdy nie była i nie będzie.

- Nie przebywałam w ośrodku resocjalizacyjnym, tylko leżałam w szpitalu w stanie śpiączki - powiedziała nieoczekiwanie. Jack wyczuł w niej napięcie, lecz po chwili zmu-



siła się, by się odprężyć. - A kiedy się ocknęłam, pragnęłam jedynie powrócić do normalnego życia i zachowywać się tak, jakby się nic nie stało. Ponieważ byłam potwornie przerażona, że wszystko w moim życiu się zmieniło, że ja się zmieniłam, i nie miałam pojęcia, jak sobie z tym poradzić. - Potrząsnęła głową. - Szokowało mnie, że publicznie doznałam załamania nerwowego, że mnóstwo ludzi o tym wie, a ja jestem wobec nich bezbronna.

Jacka zaskoczyła gwałtowność jej słów i gniewny grymas na twarzy. Zastanawiał się, co jest tego powodem, jakie wewnętrzne demony ją dręczą. O ile powiedziała prawdę.

Uświadomił sobie, że Larissa jest jedyną kobietą, która wzbudziła w nim opiekuńcze uczucia, a zarazem najmniej ze wszystkich potrzebującą jego opieki. Ta myśl doprowadzała go niemal do obłędu.

- Nie przejęłam się faktem, że Theo ode mnie odszedł - mówiła dalej. - Dowiedziałam się, że nigdy naprawdę mnie nie kochał, ale przecież ja także nie zaręczyłam się z nim z miłości. - Wzruszyła ramionami i szczerzej owinęła się kocem. - W każdym razie porzucił mnie.

- Nie musisz mi o tym wszystkim opowiadać - odezwał się Jack.

Wolał, kiedy Larissa odgrywała swoją zwykłą rolę uwodzicielskiego wampa. Obecnie odsłaniała coś z prawdziwej siebie. Chciał tego, lecz zarazem wprowadzało go to w zakłopotanie.

- I wszystko powróciło do normalności, tak jak tego pragnęłam. - Westchnęła. - Tyle że ja nie byłam normalna, taka jak dawniej. Powinnam umrzeć, ale przeżyłam. - Spojrzała na Jacka wzrokiem, który przejął go do głębi. - Nie wiedziałam dlaczego. Nie miałam kogo o to zapytać. Ani ojca, który od wielu lat mnie nienawidził, ani matki, która chorowała, odkąd skończyłam dziewięć lat, ani przyjaciół, których miałam, bo ich najmniej by to obeszło. Oni śmiali się z mojej „szalonej nocy”, jak nazywali tamten epizod, po którym wpadłam w śpiączkę, i czekali tylko na następną imprezę, aby móc zapomnieć, że to kiedykolwiek się wydarzyło.

Jack doskonale znał krąg jej przyjaciół, ich rozrywki i obsesje. Wielu z nich było niegdyś towarzyszami jego występków. Dlatego nie zaskoczyło go to, co o nich mówiła,

ani fakt, że rodzina zatuszowała informację o stanie jej zdrowia. Natomiast wyraz bezbronności na twarzy Larissy wstrząsnął Jackiem i wzbudził w nim pragnienie, by ją chronić.

„Ale przed czym? - zapytał cynicznie wewnętrzny głos. - Przed jej własnym duchowym chaosem, za który sama ponosi winę?”.

- To idioci - odrzekł z szorstkim lekceważeniem. - Zawsze tacy byli.

- Dopiero po trzech tygodniach zdałam sobie sprawę, że nikogo nie obchodzi fakt, że otarłam się o śmierć - powiedziała Larissa wciąż tym samym bezbarwnym, martwym tonem. Jack chciał ją przytulić i pocieszyć, ale nie był pewien, czy by mu na to pozwoliła. - A po następnym tygodniu pojęłam, że jeśli pozostanę w tym środowisku, wkrótce mnie też przestanie to obchodzić. Mogłabym równie dobrze umrzeć. - Zerknęła na Jacka i uniosła brwi. - Ludzie patrzą na mnie i widzą to, czego się spodziewają. Nic więcej i nic mniej. Dlatego postanowiłam zejść wszystkim z oczu.

- A więc stąd ten kamuflaż - stwierdził Jack, wskazując przefarbowane na czarno włosy.

Przypomniał sobie jej słynną bujną blond fryzurę, którą tyle kobiet naśladowało.

- Postanowiłam się przekonać, kim będę, kiedy przestanę być Larissą Whitney z Manhattanu, nieustannym utrapieniem dla swojej rodziny - oświadczyła, lekko wzruszając ramionami. - Kiedy stanę się po prostu sobą.

To absurd, pomyślał Jack. Pragnął jej uwierzyć, ale wciąż widział w niej tylko zręczną kłamczynię. Taką, jak jego ojciec, który obecnie miał już piątą żonę, o jakieś dziesięć lat młodszą od swego syna. Jack nie zamierzał dać się omamić oszustce tak niebezpiecznie pięknej jak Larissa.

- I jak ci się powiódł ten eksperyment? - zapytał cierpko.

- Doskonale - odrzekła spokojnie. - Dopóki ty się nie pojawiłeś.

Zaśmiał się drwiąco.

- Bzdura - rzucił. Zobaczył, że zeszywniała i zbladła, ale nie zważał na to. - Możesz udawać, kogo tylko zechcesz, możesz ufarbować włosy na wszystkie kolory tęczy. Ale to niczego nie zmieni.

- Oczywiście, że nie - rzekła, mierząc go twardym wzrokiem. - Ponieważ jestem potworem.

- Nie - odparł. - Ponieważ jesteś Larissą Whitney. Na litość boską, skarżysz się, że ludzie uważają cię za potwora...

- Nigdy na nic się nie skarżę - przerwała mu z urazą.

- Nie wprost - przyznał. - Ale zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko. Obrażona zaszywasz się gdzieś na sześć miesięcy, ponieważ nie podoba ci się sytuacja, w jakiej się znalazłaś po wybudzeniu ze śpiączki. Sytuacja, którą sama sobie stworzyłaś.

- Nigdy temu nie zaprzeczałam. - Zacisnęła usta. - Nie użalam się nad sobą. Wiem, kim jestem i jak postępowałam. Nie mam co do siebie żadnych złudzeń.

- Z pewnością tak właśnie sobie mówisz. Być może nawet w to wierzysz.

- Przykro mi cię rozczarować - rzekła oschle i wzruszyła ramionami, lecz w tym geście było coś bezbronnego - ale chyba nie znasz mnie tak dobrze, jak sądzisz.

- Wiem, że ze swoim olbrzymim majątkiem i pozycją społeczną mogłabyś działać bardzo wiele dobrego - powiedział Jack. Rozpaczliwie pragnął pomóc jej się zmienić, choć wiedział, że w przypadku tej kobiety to niemożliwe. Była zbyt skąpa i samolubna. - Będziesz dysponować niewyobrażalną fortuną i władzą, jeśli tylko przestaniesz przed tym uciekać.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - odparła, lecz w jej oczach zamigotał cień i Jack pomyślał, że trafił ją w czuły punkt.

- Wiem, że prawnie dziedziczysz koncern Whitney Media. Udając, że jest inaczej, tylko dlatego, że masz problemy z rodziną, dowodzisz jedynie swojej słabości.

Zaśmiała się gorzko.

- Niech zgadnę. Ty także, jak wszyscy inni, chcesz przejąć moje udziały w tej firmie.

Spojrzał jej w oczy.

- Tylko na jednym zależy mi mniej niż na firmie Whitney Media - oświadczył, zdumiony własnym okrucieństwem i pragnieniem, by zranić Larissę. - Na tobie.

Wpatrywała się w niego przez długą, pełną napięcia chwilę. Oddychała szybko, a w jej oczach widniał niepokój. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał niewiarygodnie spokojnie. Jack zastanawiał się, ile musiało ją to kosztować.

- To zabawne - rzekła, starannie dobierając słowa. - Sądziłam, że twoja opinia o mnie już nie może być gorsza. Pomyliłam się, jak zawsze.

- Nie chcę cię obrazić - powiedział - ale przez całe życie uciekasz przed sprawami, z którymi nie potrafisz sobie poradzić, prawda? Nigdy nie spróbowałaś stawić im czoła. Chcesz wiedzieć, kim naprawdę jesteś? Wobec tego po prostu spójrz, jak postępujesz.

Spuściła głowę i zacisnęła wargi, lecz kiedy znów podniosła na niego wzrok, w jej oczach nie było łez.

- Dziękuję ci - rzekła drżącym głosem. Fakt, że w końcu udało mu się ją zranić, sprawił Jackowi ból, a jednocześnie satysfakcję, ponieważ oznaczał, że pod nieprzeniknioną maską Larissy Whitney kryje się jednak prawdziwa, żywa kobieta, zdolna do uczuć. - Z pewnością powodowała tobą wyłącznie bezinteresowna troska o mnie, niemająca nic wspólnego z tym, że uciekłam również przed tobą.

Musiał przyznać z niechętnym podziwem, że Larissa potrafi zadać celny cios. Doceniał to, że jest twarda i prowadzi grę tak, by jak najmniej ucierpieć. Była w tym mistrzynią.

Lecz on nie miał nic do stracenia. Mimo to pragnął w głębi duszy, aby Larissa okazała się taka, jaka - co dobrze wiedział - nigdy nie będzie mogła się stać.

- Tak - powiedział, wytrzymując jej spojrzenie. - Porzuciłaś mnie po tamtym weekendzie. Przeżywałem wtedy rozpacz po śmierci matki i okazałem się na tyle głupi, by myśleć, że to, co wydarzyło się między nami, oznacza coś głębokiego, prawdziwego. Ale nie martw się, już dawno przestałem w ciebie wierzyć.

Najgorsze było zaś to, że potem Larissa jednak została u niego. Rozmyślała o tym później w nocy, leżąc bezsennie w wielkim żelaznym łóżku, podczas gdy Jack spał obok. Jak mogła tak całkowicie się zagubić, skoro jeszcze niedawno sądziła, że przeżyła przemianę i odrodzenie? I dlaczego teraz po prostu nie odeszła od tego mężczyzny, po tym gdy jej dowiódł, jak nisko ją ceni?

Zamiast tego przelała całą gorycz, wściekłość i ból w jedyną rzecz, która zdawała się łączyć ich oboje - w zmysłową namiętność. W prostą prawdę żarliwych pocałunków, nagich ciał splecionych ze sobą i poruszających się we wspólnym rytmie, jakby stanowiły jedność. Ale to był tylko seks i nie mógł jej ocalić.

Nie mogła już dłużej się oszukiwać. Odkąd Jack pojawił się ponownie w jej życiu, usiłowała się ukryć w ich upajającym erotycznym związku, w żarliwych pieszczotach tego mężczyzny. Tej nocy coś w niej pękło i nie potrafiła już dłużej udawać i zachowywać się, jakby się nic nie stało, co czyniła przez ostatnie dwa tygodnie. Z przerażającą jasnością uświadomiła sobie niezbitą prawdę.

Jack jej nienawidzi.

Serce waliło jej szaleńczo. Obróciła się na bok i zwinęła w kłębek.

Nienawidzi jej od lat. Och tak, czuje do niej silny seksualny pociąg, ale we wszystkich aspektach poza czysto fizycznym gardzi nią i uważa za bezwartościową.

Może nie raniłoby jej to tak bardzo, gdyby nie uświadamiała sobie z bolesną oczywistością własnych uczuć wobec Jacka Suttona. To, co do niego czuła, przeczyło zdrowemu rozsądkowi i logice. Było zbyt niepojęte, zbyt chaotyczne... i sprawiało jej ból. Najwidoczniej podświadomie podejrzewała, że to potężne uczucie może ją zniszczyć, gdyż przez wiele lat robiła wszystko, by je wyprzeć.

A jednak przez cały ten czas pragnęła Jacka z przemożną, niewyobrażalną siłą.

Nie chciała zatracić się wyłącznie w dzikiej, upajającej sferze ich żarliwej zmysłowości. Pragnęła, aby naprawdę ją poznał, zrozumiał i dostrzegł w niej wszystko to, czego nigdy nie odważy się mu zdradzić. A przecież dotychczas przez całe życie starała się, by nikt nie zajrzał pod jej maskę. Nawet sama nie była pewna, co się pod nią kryje!

Lecz za każdym razem, gdy patrzyła na Jacka, coraz trudniej przychodziło jej grać przyjętą rolę i coraz więcej ją to kosztowało. Była znużona sobą i swoim wizerunkiem, który prezentowała światu. Dotąd nigdy nie próbowała się bronić, gdyż czuła się winna wszystkiego, o co ją oskarżano. Jednak świadomość, że Jack wierzy we wszelkie najgorsze opinie na jej temat, wyryła w jej sercu bolesną ranę. I owa rana coraz bardziej się pogłębiała, gdy spoglądał na Larissę tak, jakby każde jej słowo czy choćby wyraz twarzy jedynie potwierdzały jego pogardliwy sąd.

Przed ponownym spotkaniem Jacka właśnie na tym polegała jej taktyka. Udawało jej się przetrwać dzięki temu, że ukazywała się ludziom taka, jaką chcieli ją widzieć. Dlaczego więc teraz tak bardzo się tym przejmuje? Dlaczego ma wrażenie, że pogarda Jacka dosłownie fizycznie ją zabija?

Znała odpowiedź. Ta niepojęta, niechciana prawda wdzierала się do jej duszy, napełniając ją paniką, przerażeniem, lecz także niepojętą radością, jakiej nigdy dotąd nawet sobie nie wyobrażała.

Istniały słowa opisujące to, co czuła, lecz nie potrafiła się zmusić, by wypowiedzieć je choćby tylko w duchu. To niemożliwe. Nie dla niej. Jest Larissą Whitney i już dawno temu wybrała swoją życiową drogę. Wiedziała z rodzajem posępnej rezygnacji, że rzeczy, które inni ludzie uważają za oczywiste - takie jak szczęśliwe małżeńskie życie w uroczym domku z ogródkiem - nie są jej przeznaczone. Nawet najbardziej potulni i dobrze wychowani członkowie jej towarzyskiego kręgu mogą, co najwyżej, spodziewać się powielenia wzoru życia pozostawionego im przez ich rodziców. Wykalkulowane, bezduszne związki małżeńskie, obowiązkowo dzieci, które przedłużą linię rodu i odziedziczą rodzinny majątek, a w końcu romanse, tuszowane skandale i powolne, nieuchronne staczanie się w alkohol lub narkotyki, starannie maskowane na wspaniałych balach dobroczynnych, na których cała śmietanka towarzyska Manhattanu tak elokwentnie okłamuje się nawzajem co do swego rzekomego szczęśliwego życia.

Wiedziała, że Jack zawrze takie właśnie małżeństwo z rozsądku z jakimś naiwnym dziewczęciem o świeżej buzi, które nigdy się nie dowie o ich namiętnych nocach.

Jej nie czekają podobnie świetlane perspektywy. Na przeszkodzie stoi jej zła sława.

Usiadła w łóżku i spuściła nogi na zimną podłogę. Nie mogła się oprzeć, by nie zerknąć przez ramię na śpiącego nagiego Jacka. Wpadający przez wysokie okna blask księżyca oświetlał jego doskonale harmonijne ciało, którego uroda zaparła jej dech w piersi.

Wiedziała, że mogłaby mieć na zawsze tego mężczyznę, gdyby tylko zdołała przymknąć oczy na jego pogardliwą opinię o niej, udawać, że to bez znaczenia i że jej nie rani. Gdyby potrafiła pogodzić się z tym, że on widzi w niej potwora, a nie kobietę, jaką naprawdę jest lub przynajmniej mogłaby się stać.



Ta pokusa była tak silna, że ją przeraziła. Larissa zapragnęła wśliznąć się z powrotem do łóżka, wtulić się w Jacka i pozwolić, by traktował ją, jak tylko zechce. Zgodziłaby się na wszystko, byle móc pozostać z nim choć trochę dłużej.

Ale nie mogła tak postąpić, ponieważ pragnęła uwierzyć w prawdziwą siebie.

Długo siedziała jak sparaliżowana, ogarnięta paniką. Wiedziała, co musi zrobić, chociaż wszystko w niej buntowało się przeciwko temu. Tym razem sama podejmie decyzję, a Jack jej w tym nie przeszkodzi.

Przywołała więc na pomoc całą swą odwagę i wstała. Nie wolno jej tylko ponownie spojrzeć na Jacka. Wyobraźnia i tak podsunęła jej obraz jego czarnych oczu rozświetlonych błyskiem czułości, delikatnych dłoni, zmysłowych ust; przywołała wspomnienie jego okrucieństwa i łagodności.

Jak mogłaby znowu go porzucić?

Przypomniała sobie tamten ich miłosny weekend sprzed pięciu lat. Nawet już wówczas pojmowała - choć nie tak jasno jak obecnie - że Jack Sutton stanowi dla niej zagrożenie nieporównywalne z żadnym innym. Musiała od niego odejść, chociaż jej ciało pragnęło go z intensywnością, która przyprawiała ją o oszalamiający zawrót głowy. Wymknęła się wtedy ukradkiem z jego mieszkania, jakby w poczuciu winy, gdy brał prysznic. Wsiadła w pierwszy samolot do Europy, a potem poleciała na Malediwy. Kiedy po kilku tygodniach wróciła do Nowego Jorku, Jack już przestał jej szukać. Wmawiała sobie ciągle, że właśnie o to jej chodziło, i zmusiła się, by przyjąć oświadczyzny Theo. Powtarzała sobie, że podczas tej krótkiej weekendowej przygody z Jackiem po prostu dała się ponieść zmysłom. W głębi duszy jednak zawsze знаła prawdę.

Jack stanowił dla niej zbyt wielką pokusę i dlatego był zanadto niebezpieczny. To jedyny mężczyzna, w którym mogłaby się zakochać - i lękała się, że to już się stało. A co gorsza, przelotnie zakosztowała słodkiego smaku tego, jak mogłoby wyglądać ich wspólne życie w tym pięknym domu na wyspie będącej jego prywatnym azylem. Tutaj, z dala od dziennikarzy, kamer i miejskiego zgiełku mogliby być naprawdę sobą. Przez chwilę pozwoliła sobie na tę cudowną fantazję, na ten mały promyk nadziei. Gdyby jej życie nie było takie pogmatwane... Gdyby nie determinacja Jacka, by sprostać surowym, purytańskim oczekiwaniom dziadka i spełnić swój obowiązek, zawierając stosowne mał-

żeństwo z rozsądku... Gdyby potrafiła stać się kobietą, z której Jack mógłby być dumny - a przynajmniej której nie musiałby się wstydzić...

Gdyby nie uważał jej w gruncie rzeczy za dziwkę...

Poczuła w sercu bolesny skurcz, a gdy odetchnęła, zabrzmiało to jak szloch. Tym razem nie była spanikowana, oziębiała ze strachu. Dokładnie wiedziała, z czego rezygnuje. I cierpiała.

Jack mimo woli, przez samo swoje istnienie i burzę uczuć, jaką w niej rozpętał, wlał w Larissę przekonanie, że należy jej się od życia coś więcej. Dlatego nie chciała przystać na żaden kompromis. Osiem miesięcy temu nie przeszkadzałoby jej przebywanie z kimś, kto nią gardzi, lecz od tego czasu się zmieniła. Być może wciąż nie wiedziała, kim naprawdę jest, ale po raz pierwszy od obudzenia się ze śpiączki pojmowała, kim pragnie się stać. I przestała już nienawidzić siebie. Jak więc mogłaby żyć z kimś, kto czuje do niej nienawiść? To oznaczałoby dla niej powrót do swego dawnego wcielenia, które porzuciła.

Ubrała się cicho i szybko w bladej poświacie listopadowego księżyca, a potem wpakowała na chybił trafił swoje rzeczy do niewielkiej torby. Pozwoliła sobie po raz ostatni spojrzeć na Jacka.

Już teraz tęskniła za tym wszystkim, co nieodwołalnie utraci.

Ale tak jest lepiej.

Musi być lepiej.

O świcie wypływał prom i Larissa zamierzała na niego wsiąść.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack nudził się śmiertelnie na przyjęciu dobroczynnym, urządzonym w amerykańskim skrzydle Metropolitan Museum of Art. Znał szczegółowo wspaniałe zbiory tego muzeum, gdyż bardzo często je odwiedzał, a poza tym kilku jego przodków należało do założycieli tej instytucji. Toteż był pewien, że mógłby z zawiązanymi oczami opuścić gości w eleganckich smokingach i wytwornych kreacjach i trafić do sali średniowiecznych rzeźb, gdzie zgodnie z gwiazdkową tradycją znalazłby słynną doroczną choinkę oraz osiemnastowieczny neapolitański obraz przedstawiający scenę narodzin Jezusa.

Fakt, że w ogóle przyszło mu to do głowy, jedynie potwierdzał jego podejrzenie, jakie powziął już, przyjeżdżając po dziewczynę, która miała mu towarzyszyć na tej pretenjonalnej imprezie: nie zamierzał poślubić panny Elizabeth Shipley Young, chociaż jego dziadek gorąco tego pragnął. Jack, siedząc przy bankietowym stole pomiędzy dziadkiem i nudną, nieciekawą Elizabeth, nie wiedział nawet, jak zdoła przetrwać ten wieczór.

- Dobrze się czujesz? - spytała jego partnerka z nerwowym śmiechem.

Miała powody do zdenerwowania, gdyż od momentu, gdy zjawił się w jej mieszkaniu, był ponury, niespokojny i roztargniony. Całkiem niepodobny do tego czarującego Jacka Suttona, jakiego niewątpliwie się spodziewała. Wyglądało, jakby zostawił tę uroczą część siebie na wyspie Maine.

- Doskonale - skłamał z wymuszonym uśmiechem.

Jednak gdy Elizabeth przeprosiła go na chwilę i udała się do toalety, Jack z powrotem spochmurniał. Siedzący po lewej dziadek, który śledził każdy jego ruch, mruknął szorstko:

- Jesteś dziś wieczorem tak czarujący jak żałobnik na pogrzebie.

- Zjawiłem się tutaj, prawda? - rzucił Jack, z trudem powściągając zniecierpliwienie. - Zgodnie z twoim rozkazem.

- Nie powinienem być zmuszony do rozkazywania ci, żebyś wypełnił swój obowiązek wobec rodziny - powiedział dziadek gderliwym tonem, z irytacją marszcząc brwi.

- Nie musisz się martwić o moje oddanie dla rodziny - wycedził Jack przez zęby. - Już od dawna podejrzewam, że wyrzekanie na mnie stanowi jedną z twoich ulubionych rozrywek.

Starzec przyglądał mu się przez długą, pełną napięcia chwilę i Jack przygotował się na jego nieunikniony wybuch gniewu. Zastanawiał się leniwie, od kiedy stał się tak zuchwały wobec dziadka. Ten jednak tylko prychnął, a potem odwrócił się i wdał się w rozmowę ze swoim drugim sąsiadem.

Jack rozsiadł się swobodnie w krześle. Musiał niechętnie przyznać, że istotnie od kilku tygodni nie jest naprawdę sobą. Ściśle biorąc od momentu, gdy obudziwszy się, skonstatował, że Larissa Whitney znowu od niego uciekła.

Po prostu nie potrafił się z tym pogodzić.

Oczywiście wmawiał sobie, że się tym nie przejmuje. Zamknął dom i opuścił wyspę Maine. Zniósł męczący obiad z okazji Święta Dziękczynienia w miejskiej rezydencji dziadka w Bostonie. Jednak gdy zapewniał starca, że zamierza się ustatkować i przedłużyć linię rodu, nie mógł przestać myśleć o Larissie.

Dziadek wyliczał zalety i wady wszystkich dziedziczek fortun ze Wschodniego Wybrzeża w wieku poniżej czterdziestu lat, ale Jack widział tylko bystre zielone oczy Larissy, jej zmysłowe usta i kuszące nagie boskie ciało. Spożywając bez apetytu kolejne tradycyjne świąteczne dania zastanawiał się, jak ma się ustatkować i pojąć odpowiednią żonę, skoro wciąż pamięta zmysłowy urok tej namiętnej dziewczyny.

Naturalnie, nie wspomniał o tym dziadkowi.

Miał wrażenie, że Larissa rzuciła na niego czar. Nie potrafił znaleźć innego wyjaśnienia. Działała na niego z neodpartą siłą, a on stale ulegał jej wpływowi. Jak mógł sądzić, że zdoła nad tym zapanować? I wciąż jej pragnął. Nawet teraz, po kilku tygodniach, pośród śmietanki towarzyskiej Manhattanu, chociaż Larissa porzuciła go bez słowa wyjaśnienia. Tak, ona z pewnością go opętała. Wprawdzie powrócił do Nowego Jorku i codziennych zawodowych obowiązków związanych z kierowaniem Fundacją Endicott, jednak w istocie myślał wyłącznie o niej, a nawet o niej śnił.

Wróciła Elizabeth, więc Jack wstał i z należytą galanterią odsunął dla niej krzesło. Zaraz jednak znów pogрузzył się w rozmyślaniach. Uświadomił sobie, że Larissa Whitney

jest upiorem, który nieustannie go nawiedza. Dlatego nie zdziwił się zbytnio, gdy, usłyszawszy cichy szmer w tłumie gości, odwrócił się i ujrzał Larissę we własnej osobie, wkraczającą na salę. Jakby sprowadził ją tutaj swoim pragnieniem!

Jej obecność przeniknęła go niczym elektryczny prąd. Po raz pierwszy od kilku tygodni na jego twarzy wykwitł szczery, niewymuszony uśmiech.

Larissa prezentowała się olśniewająco, ale powinien był się tego spodziewać. Czyżby tamten skromny wygląd na wyspie Maine był z jej strony jedynie grą, sztuczką mającą na celu omotanie go? Przypomniawszy sobie jej uroczą twarz bez makijażu, wytarte dżinsy, stare swetry, a potem znów popatrzył na tę niezrównaną piękność, stojącą tak swobodnie pośród tłumu wytwornych gości. Na jej obliczu widniał tajemniczy uśmiech Mony Lisy przeznaczony dla fotografów. Wydawała się wprost zachwycona tym, że znów znalazła się w centrum uwagi rozwiązałej nowojorskiej elity.

- Larissa Whitney naprawdę ma tupet - mruknęła Elizabeth Shipley Young tonem wskazującym, że to nie miał być komplement. Potem zachichotała złośliwie. - Widząc ją tu dzisiaj, nikt nie domyśliłby się prawdy o niej. Odgrywa takie niewiniątko!

Jack zmierzył ciężkim wzrokiem swoją towarzyszkę. Miał ochotę złapać ją za gardło i udusić. Pohamował się jednak, gdyż to zapewne nie spodobałoby się dziadkowi. Poza tym starał się pamiętać, że jest dżentelmenem.

- Nie wiedziałem, że znasz Larissę - rzekł w końcu lodowatym tonem.

Elizabeth zaczerwieniła się.

- No... nie osobiście - wyjąkała.

- Więc może nie powinnaś o niej plotkować - rzucił z ledwie hamowanym gniewem.

Elizabeth wzdrygnęła się i oblała jeszcze głębszym rumieńcem. Dziadek spiorunował go wzrokiem, ale Jack nie przejął się tym ani faktem, że właśnie zrujnował jego plany małżeńskie wobec siebie. Znacznie bardziej interesowało go, dlaczego zareagował tak gwałtownie na niepocholebny komentarz Elizabeth. Przecież sam mówił Larissie o wiele gorsze rzeczy.

Znów odszukał ją wzrokiem. Szła przez tłum gości z zagadkowym uśmiechem niczym dumna bogini. Była ubrana w wytworną ciemnogrnatową obcisłą sukienkę i naj-

wyraźniej nie miała pod spodem bielizny. Boże, wyglądała jeszcze cudowniej, niż ją zapamiętał! Roztaczała aurę tajemnicy, zmysłowości i jeszcze czegoś nowego: świadomości dziedzictwa wielu pokoleń rodu Whitneyów, którego dotychczas nie potrafiła zaakceptować i przyswoić. Jej wyniosłe spojrzenie zdawało się mówić: „Możecie o mnie plotkować, ale mnie rozpoznajecie”. Była wreszcie naprawdę sobą. Jedyna, niepowtarzalna, a zarazem nieodrodna spadkobierczyni wielowiekowej świetnej rodzinnej tradycji.

Jacka ogarnęło znajome gwałtowne pożądanie. Nie mógł się już doczekać, kiedy ta dziewczyna będzie znów należała do niego.

Przez cały wieczór Jack przyglądał się, jak Larissa tańczy, z uśmiechem rozmawia z gośćmi i zachowuje się jak idealna dziedziczka i chluba rodziny. Jej widok coraz bardziej podsycał w nim płomień zmysłowej żądz. W końcu dogonił ją, gdy schodziła ze szczytu słynnych frontowych schodów muzeum, górujących nad Piątą Aleją.

- Zaczekaj, Kopciuszkule! - zawołał.

Odwróciła się szybko i przez moment pod maską doskonałej, wytwornej piękności ujrzał tamtą Larissę z wyspy Maine. Rozpoznał ją po błysku zielonych oczu i lekkim drżeniu zmysłowych warg. Natychmiast opanowała się i znów miał przed sobą niewzruszoną, wyniosłą kobietę, należącą do nowojorskiej elity.

- Witaj, Jack - rzuciła beznamiętnie.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- To chyba nie twoja sprawa - odparła tonem równie lodowatym jak grudniowe powietrze. Wzrok też miała zimny. - Nie boisz się, że twoja nieskazitelna reputacja może ucierpieć, jeśli będziesz publicznie ze mną rozmawiał?

Jej ostre słowa i spojrzenie były całkowicie odmienne od wspomnienia, które napłynęło do Jacka: Larissy jęczącej cicho z rozkoszy w jego ramionach. Z wysiłkiem odpechnął ten obraz.

- Zatem wymykasz się z przyjęcia, tak jak wcześniej wymknęłaś się z mojego domu - powiedział. - Czy jest w ogóle coś, przed czym nie uciekasz?

- Mam wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania przestałam się tak bardzo przejmować niepocholebnymi opiniami na mój temat - odparła i rzuciła mu uśmiech rów-



nie ostry i raniący jak jej słowa. - Oczywiście, miło znów cię widzieć, zwłaszcza że już nie jesteś przebierańcem udającym rybaka z wyspy i powróciłeś do swojego zwykłego eleganckiego stroju. - Niedbałym gestem wskazała jego nienagannie uszyty płaszcz i wytworny smoking. - Ale na mnie już czas.

- Jak on się nazywa? - warknął Jack.

Zamierzał zachować spokój, ale odniósł wrażenie, że jego głos, w którym po-brzmiewała nuta groźby, odbił się echem w całym Central Parku. Larissa nie przestraszy-ła się jednak i nie odwróciła wzroku.

- Masz na myśli mojego partnera na tej imprezie? - rzuciła jadowitym tonem. - Przyszłam sama. Wiesz, jestem już dorosła i nie potrzebuję opieki.

- Mówię o mężczyźnie, z którym zamierzasz się teraz spotkać - wyjaśnił z zimną furią. - Tym, dla którego uciekłaś ode mnie.

Larissa westchnęła bezgłośnie, a Jack uśmiechnął się nieprzyjemnie i zapytał, nie mogąc się powstrzymać:

- Czy to ten idiota, z którym tańczyłaś dziś aż cztery razy? - Przed oczami stanął mu obraz rozpustnego łajdaka o podłym wejrzeniu, o wiele za mocno przyciskającego do siebie Larissę w tańcu. - Gratuluję wyboru! Chyba wziął mojego dziadka za kelnera.

- Chip van Housen? - rzekła oschle. - Ależ skądże.

- A więc z kim jesteś umówiona? - naciskał.

Przyglądała mu się przez chwilę z zaciśniętymi ustami.

- Do diabła, Jack - syknęła i wbiła w niego twarde spojrzenie. - Powtarzam, to nie twoja sprawa.

W dole na Piątej Alei trąbiły samochody, autobusy hamowały z piskiem opon, a wokoło Manhattan skrzył się światłami i tętnił nieokiełznaną energią. Ale Jack widział tylko zielone oczy i nieznacznie drżące usta Larissy. Pragnął wziąć ją w ramiona i prze-prosić za wszystkie rany, jakie jej mimowolnie zadał.

Nie wiedział, jak to wyrazić, więc tylko podszedł do niej bliżej i rzekł:

- Naprawdę uważasz, że wszystko między nami skończone, tylko dlatego, że zno-wu ode mnie odeszłaś? Myślisz, że tym razem też pójdzie ci tak łatwo?

- Czego ode mnie chcesz, Jack? - spytała wprost.

Z jej głosu i spojrzenia poznał, że wreszcie przestała grać i była znów tamtą dziewczyną z wyspy.

- Nie wiem - odrzekł z wysiłkiem.

- Naprawdę zamierzasz rozmawiać akurat o Chipie van Housenie? - spytała głosem zmienionym od emocji, których Jack nie potrafił nazwać. - Dawniej lubiłam z nim flirtować, żeby dopiec Theo. - Skrzywiła się i oczy jej błysnęły. - Chip sądzi, że jestem mu coś winna, ale to tylko nadęty łobuz z bogatej rodziny.

- A nie jesteś mu nic winna? - zapytał.

Przysunął się jeszcze trochę bliżej i nagle zapragnął odgarnąć kosmyk włosów z jej czoła.

- A cóż takiego miałabym być winna jemu, tobie czy komukolwiek na świecie? - rzuciła zdławionym głosem. - Jaką cenę, twoim zdaniem, powinnam zapłacić? Ponieważ najwyraźniej oczekujesz ode mnie jakiegoś zadośćuczynienia.

- Wcale nie o to mi chodzi... - zaczął.

- Nie jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który postanowił zmienić się na lepsze - przerwała mu porywczo. - Tylko że ciebie spotkało za to powszechne uznanie, natomiast niektórzy z nas czynią to bez pochwał tłumu pochlebców.

- Wciąż powtarzasz tę bajeczkę o swojej rzekomej przemianie - rzekł, potrząsając głową. Ogarnęła go nagle wściekłość na Larissę. - Dlaczego nie porzucisz tych gier? Co zamierzasz dzięki nim osiągnąć?

Przez moment Larissa wyglądała na zranioną. Odetchnęła z wysiłkiem, lecz zaraz znów przywdziała swoją gładką, niewzruszoną maskę. Mimo to Jack nie potrafił zapomnieć wyrazu cierpienia w jej oczach. Powtarzał sobie, że to wszystko tylko gra i że ta dziewczyna jest mistrzynią manipulacji. Musi tak być, gdyż w przeciwnym razie cała ta sytuacja nie miałaby sensu.

- Twoja partnerka wygląda uroczo - powiedziała cicho. Wydało mu się, że usłyszał w jej głosie złośliwą nutę. - A skoro mowa o celach do osiągnięcia, to jestem pewna, że ta dziewczyna stanie się dla ciebie doskonałą, posłuszną żoną, zgodnie z wolą twojego dziadka.

- Skąd wiesz, jakiej żony potrzebuję? - spytał wyzywająco.

- Wydaje się wystarczająco tobą onieśmielona - stwierdziła Larissa. - Z pewnością nawet nie zauważy, kiedy zaczniesz swoje nieuchronne romanse. Może nawet dozna ulgi. Nie sprawia na mnie wrażenia szczególnie namiętnej.

- W przeciwieństwie do ciebie - rzekł z naciskiem i przyjrzał się Larissie. - Czy proponujesz siebie jako moją pierwszą kochankę?

- Nie, to nie będę ja - odparła z zagadkowym błyskiem w oczach.

- Jesteś kłamliwa - powiedział Jack. Wciąż czuł w sobie ten gwałtowny gniew, który, jak się obawiał, w istocie wcale nie był gniewem, lecz całkiem innym uczuciem. - I tchórzliwa. Naprawdę myślisz, że możesz stale uciekać? I że ocali cię udawanie, że ludzie cię szanują?

- Dość tego... - zaczęła z furją.

Lecz Jack nie potrafił już dłużej udawać i powstrzymał ją w jedyny znany sobie sposób - gwałtownym pocałunkiem, w którym zawarł całą namiętność, wściekłość i tęsknotę, dręczące go od wielu tygodni.

Całował Larissę i zapomniał o całym świecie. Istniała tylko ona. Upajał się jej bliskością, smakiem jej ust. Te pocałunki kołysły jego dojmujące pragnienie, choć zarazem jeszcze mocniej rozpałały w nim płomień pożądania.

W końcu jęknęła cicho i odsunęła się od niego.

- Nie pragniesz mnie, tylko wyobrażenia, jakie o mnie masz - rzekła drżącym głosem.

- Nie wiesz, czego pragnę - odparł, choć sekretnie obawiał się, że on sam też tego nie wie.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła i jej oczy pociemniały. Jack pojął, że ma teraz przed sobą prawdziwą Larissę, jakiej szukał, ale pełną goryczy, gniewu i bólu. - Ważne, czego ja pragnę. Z pewnością nie tego, nie potajemnego całowania się po ciemku z mężczyzną, który mną gardzi, podczas gdy tuż obok czeka na niego kobieta, którą poślubi.

- Pragnę ciebie - powiedział z uporem, ale cofnęła się przed nim i rzuciła mu ostre spojrzenie, które zraniło go jak pchnięcie nożem.

- W ogóle mnie nie znasz - rzekła lekceważąco. - Pragniesz ułudy.

- Znam cię lepiej, niż sądzisz - zaproponował.

Całą siłą woli powstrzymywał się, by jej nie objąć i nie przekonać lepiej niż słowami.

- Nie, nie znasz mnie - powtórzyła rzeczowym tonem. - Za to ja znam ciebie. Krytykujesz każdą moją przywarę, podczas gdy sam skaczesz tak, jak zagra ci twój dziadek. Ale nigdy nie odpokutujesz w jego oczach ani nie zdołasz przywrócić do życia swojej matki.

- Zamknij się - rzucił Jack tak lodowatym tonem, jakby do jego duszy wniknęło mroźne grudniowe powietrze.

- Nigdy nie ośmielisz się sprzeciwić dziadkowi - ciągnęła Larissa, ignorując jego gniew. - Gotów jesteś nawet ożenić się na jego rozkaz, a jednak to mnie nieustannie krytykujesz i zarzucasz mi słabość. Ja przynajmniej niczego nie udaję i przyznaję się do swoich wad.

- I to mówisz ty, która przez całe życie wymigujesz się od obowiązków związanych z rodzinnym dziedzictwem! - zawołał Jack, nie potrafiąc dłużej zapanować nad targającymi nim emocjami: szokiem, wściekłością i czymś jeszcze, czego nie umiał zidentyfikować. Akceptacją? Ale przecież Larissa nie może mieć co do niego racji!

- Nie rozumiesz mnie i nigdy nie zrozumiesz - rzekła smutno.

Spojrzała na niego i pojął, że ją zawiódł... i stracił. Że to przez niego odeszła. Wargi jej drżały, ale zaczęła schodzić po schodach i wiedział, że już nie wróci.

- Larisso... - wyjąkał, ale było już za późno.

Schodziła w dół, w kierunku ulicy.

Został sam, usiłując zrozumieć, co się stało i co ma teraz zrobić.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Larissa czekała na ojca na pierwszym piętrze rezydencji Whitneyów w zimnym salonie, w którym w młodości przeżyła tyle niemiłych chwil. To był ulubiony pokój Bradforda. Rzadko go używano i znajdował się na uboczu, dzięki czemu ojciec mógł tu wyrzaskiwać na całe gardło swoje wieczne pretensje bez obawy, że podsłucha go służba.

Gdyby zamknęła oczy, być może zobaczyłaby młodszą siebie siedzącą na tym samym niewygodnym krześle i gapiącą się na ten sam wiszący na ścianie obraz Mary Cassatt, stwarzający fałszywe wrażenie rodzinnej harmonii. Nie odważyła się zamknąć oczu, gdyż lękała się, że ujrzy obraz Jacka. I tak już spędziła bezsenną noc na rozmyślaniu o nim i o tym, co między nimi zaszło. Teraz westchnęła na wspomnienie ich pocałunku na schodach muzeum. Wyobraziła sobie jego urodziwą twarz, fascynujące czarne oczy...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł ojciec.

Jego zimna, nieprzystępna mina sprawiła, że temperatura w pokoju spadła o kolejnych kilkanaście stopni.

- Nie nabrałaś mnie na swoje ostatnie przedstawienie - rzucił zamiast powitania.

Prychnął pogardliwie i opadł na fotel naprzeciwko niej. Larissa stłumiła westchnienie, przygotowując się na dobrze znany scenariusz. Bradford jak zwykle wyleje na nią swoją żółć, a ona spróbuje przetrwać to bez uszczerbku. Dawniej bywało, że reagowała szlochaniem lub głośnym płaczem albo gapiła się przez okno, ignorując jego oskarżenia. Obecnie odczuwała tylko tępy żal i tęsknotę za ojcem takim, jakiego nigdy nie miała, i rodziną, jaką Whitneyowie nigdy się nie staną.

- Nie wiem, co masz na myśli - skłamała.

Chciała, żeby wypowiedział to na głos. Kolejny dowód jej perwersji. Jednak odsunęła od siebie myśli o Jacku, które już dość ją udręczyły. Sam powrót do tego domu, stanowiącego pomnik długiej historii stopniowego rozpadu jej rodziny, wystarczająco ją przygnębił.

- Mam na myśli twój ostatnio podejrzanie częsty udział w imprezach charytatywnych - parsknął. - Twoje żalosne próby przyzwoitego zachowania, które stały się przedmiotem komentarzy nowojorskiej socjety. Twoje nowe stroje, jakby ktokolwiek mógł

zapomnieć, jak szokująco ubierałaś się dawniej. Kilka tygodni udawania uczciwej kobiety nie wymaże z powszechnej pamięci wielu lat twojego skandalicznego zachowania.

Larissa przesunęła dłonią po nienagannie uszytych spodniach koloru grafitowego i pohamowała chęć wygładzenia obcisłego czarnego golfu z kaszmiru czy poprawienia gustomnych diamentowych kolczyków. Wiedziała, że wygląda szykownie, w klasycznym stylu, nawet jeśli pantofle na niepraktycznie wysokim obcasie przełamują ten konserwatywny styl. Zdawała sobie sprawę, że Bradford nie potrafi dostrzec gnębiących ją wstydu i poniżenia, do których sam się przyczynił. Zobacz tylko to, co ona mu ukaże, toteż była zdecydowana nie ujawnić mu z siebie absolutnie niczego.

- Przypuszczam, że to twoja wersja powiedzenia: „Witaj w domu” - rzekła oschle.

- Portier w twoim bloku poinformował mnie, że wróciłaś przed kilkoma tygodniami - rzucił ostro Bradford, jakby w ogóle jej nie usłyszał. Zresztą, może naprawdę tak było. - Cokolwiek knujesz, mnie nie nabierzesz.

- U mnie wszystko dobrze, dziękuję - rzuciła lekko, jakby o to zapytał. - W ciągu ostatnich miesięcy udało mi się rozwikłać kilka osobistych spraw. Doceniam twoją ojcowską troskę. Jest doprawdy wzruszająca.

- Radzę ci, bądź ostrożna, Larisso. - Wycedził jej imię jak przekleństwo.

- Bo co? - spytała wyzywająco. - Czy moja reputacja może jeszcze bardziej ucierpieć? Myślę, że wyczerpałeś już arsenał skutecznych gróźb.

- Nie zamierzam wziąć udziału w kolejnej scenie twojego niekończącego się melodramatu - oświadczył Bradford chłodnym, znudzonym głosem. - Kiedy następnym razem będziesz próbowała się zabić w którymś z klubów czy na przyjęciu, postaraj się zrobić to skutecznie. Sprzątanie bałaganu po tobie jest kosztowne, uciążliwe i fatalnie wpływa na reputację naszej rodziny i koncernu Whitney Media. Poza tym nie mogę sobie pozwolić na utratę kolejnego naczelnego dyrektora z powodu twoich gier. Czy wyrażam się jasno?

Przez chwilę siedziała bez ruchu i oddychała głęboko, jak poradzili jej lekarze osiem miesięcy temu, po tym gdy Bradford doprowadził ją do ataku lękowego awanturą podobną do tej i myślała, że dostała zawału. Nie chciała dostarczyć mu ponownie takiej satysfakcji.



- Absolutnie jasno - odrzekła i zmusiła się do takiego uśmiechu, który, jak wiedziała, doprowadzał go do furii. - Obiecuję, że moja następna śpiączka będzie śmiertelna. Jesteś zadowolony?

- Stanowisz największe rozczarowanie w moim życiu - oświadczył.

- Wbijasz mi to do głowy, odkąd skończyłam sześć lat - odparła, dumna, że potrafi tak świetnie odgrywać swobodę i bez troskę.

- Mam nadzieję, że udały ci się wakacje - rzucił beznamiętnym tonem. - Nie mam pojęcia, co mogłaś robić aż tak długo, ale niewiele mnie to obchodzi. Przypuszczam, że rachunek jest horrendalny, jak zawsze.

Jedynie w sensie emocjonalnym, pomyślała żałośnie, ale tylko wzruszyła ramionami, pozwalając mu myśleć, że schroniła się w jakimś modnym wytwornym kurorcie. Zresztą, niech Bradford myśli, co chce. Tymczasem on mówił dalej groźnie spokojnym głosem:

- Tylko nie licz na to, że ci pomogę, jeśli przekroczyłaś swoje kwartalne kieszonek. Przestałem już po tobie sprzątać. - Na jego twarzy po raz pierwszy odbił się cień emocji. - Zdajesz sobie sprawę, co oznacza dla firmy strata Theo Markou Garcii? I to przez ciebie! Powinnaś być zadowolona, że całkowicie nie obciąłem ci dochodów. Niech ci się nie wydaje, że zapomniałem, co zrobiłaś. Jednym podpisem wystawiłaś na olbrzymie ryzyko naszą przyszłość, tylko po to, żeby mi dopiec. Kiedy następnym razem zmienisz testament, lepiej naprawdę umrzyj, bo inaczej sprawię, że pożałujesz, że w ogóle się urodziłaś.

Te wstrętne słowa zawisły ciężko między nimi.

- Nie musisz - odparła pogodnie, jakby wygłosił jakąś miłą uwagę. - Dwadzieścia siedem lat twojego ojcostwa wystarczyło, bym żałowała.

- Wymagałem od ciebie tylko tego, żebyś poślubiła Theo. A ty nie zdołałaś zrobić nawet tyle - powiedział Bradford głosem ociekającym pogardą. - Jesteś nic niewarta. Nawet on w końcu cię porzucił.

Larissa pomyślała, że Theo uczynił doskonale, uciekając jak najdalej od rodziny Whitneyów. Ona też tego próbowała przez minionych osiem miesięcy. Jednak Jack na-

uczył ją jednego: nikt nie zdoła uciec przed samym sobą. Przyswoiła sobie tę gorzką lekcję.

- Nie zamierzam rozmawiać o starych dziejach - rzekła cicho. - Zresztą niewiele z tego wszystkiego pamiętam - skłamała, żeby go zirytować. - Chyba nie wezwalesz mnie tu po to, żeby dyskutować o Theo.

Bradford wpatrywał się w nią przez długą chwilę, mocno zaciskając wargi.

- W przyszły czwartek odbędzie się doroczne zebranie zarządu firmy - oznajmił wyniośle. - Twoi pełnomocnicy od kilku tygodni usiłują się z tobą skontaktować. Twoja obecność, chociaż niepożądana, jest jednak niezbędna.

- Cóż za uroczne zaproszenie - mruknęła, przybierając niewzruszoną minę. - Ale po co mam się tam zjawić? Wiesz, że sprawy biznesowe mnie nudzą.

Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

- Oficjalnie przepisziesz na mnie swoje udziały w firmie - powiedział surowym tonem, nieznoszącym sprzeciwu. - Nie widzę sensu w ciągnięciu dalej tej absurdalnej sytuacji z pełnomocnikami, skoro jest całkowicie jasne, że nie interesuje cię nawet objęcie fotela w zarządzie. I Bogu dzięki! Im szybciej załatwimy niezbędne formalności, tym szybciej pozbędziesz się kłopotów z koncernem Whitney Media. - Oczy mu się zwięzły. - I tym szybciej ja pozbędę się kłopotów z tobą.

- Czy rezygnacja z moich udziałów zrywa nasze pokrewieństwo? - spytała łagodnie Larissa. - W takim razie przyszły czwartek będzie dla mnie istotnie cudownym dniem.

- Nie rób sceny - rzekł Bradford zimnym, nieprzejednanym tonem. - Podpiszesz dokumenty i stosowne oświadczenie dotyczące twojego zmarnowanego życia, a potem odejdziesz. Nie obchodzi mnie, dokąd. Czy to jasne?

Larissę ponownie przeszła bolesna tęsknota za rzeczami, których nigdy nie zaznała. Żałowała, że nie jest silniejsza i nie potrafi w pełni, całym sercem uwierzyć, że to ojciec jest potworem, a nie ona, i przestać się przejmować jego opinią o niej. Ale Bradford jest taki, jaki jest. Jej błąd polegał na tym, że bardzo długo przypuszczała, że gdyby zdołała coś w sobie zmienić, poprawić, wówczas on by ją pokochał, a przynajmniej tolerował i przestał darzyć wyłącznie pogardą.

Lecz teraz wreszcie przejrzała na oczy. Zmieniła się, lecz on pozostał taki sam jak zawsze - wyzbyty wszelkich ludzkich uczuć. To przez niego matka zmarła w Prowansji wskutek przedawkowania środków odurzających, a ona sama przez całe życie desperacko usiłowała się zniszczyć, w szalonej nadziei, że tym sposobem zmusi tego człowieka, by się o nią zatroszczył. Ale on nigdy nie zauważył, że się zmieniła. Kiedy na nią patrzy, widzi ją taką, jaka była dawniej... jaką sam uformował. Pustą, godną pogardy i do cna zepsutą. Teraz wiedziała lepiej.

- Nie martw się, tato - odrzekła, pilnując się, by zachować spokojny, beztroski ton, jakby to nie było ostateczne pożegnanie. Jakby w ogóle się nie zmieniła. - Doskonale cię rozumiałam.

Kilka dni później Jack czekał wieczorem na Larissę we wspaniałym holu jej kamienicy w zachodnim Central Parku, utrzymanym w stylu art déco. Wpadła do środka, wróciwszy z kolejnej imprezy charytatywnej, i spostrzegła jego wysoką imponującą postać w długim czarnym płaszczu. Próbowwała sobie wmówić, że jest odporna na jego męski urok. Uśmiechnęła się do portiera w liberii, który szczylił się tym, że zna z widzenia wszystkich ważnych mieszkańców Manhattanu, i niewątpliwie rozpoznał Jacka Suttona.

- Co cię tu sprowadziło? - spytała Jacka i podeszła do niego.

Stał oparty niedbale o jedną z pięknie rzeźbionych kolumn. Larissa starała się zachować nieprzeniknioną minę, ale była pewna, że on domyśla się jej uczuć. Kiedy na nią spojrzał, wydało jej się, że czas stanął; widziała tylko ogień namiętności w jego czarnych oczach.

- Nie wiem - odpowiedział po prostu.

Przystanęła przed nim, przełknęła nerwowo i odetchnęła głęboko, żeby się opanować.

- To zaczyna wyglądać na nękanie mnie - zauważyła z nikłym uśmiechem.

- Przypuszczam, że gdybym zadzwonił, nie odebrałabyś telefonu - rzekł szorstko, wpatrując się w nią z takim żarem, że niemal zapomniała, że przed chwilą marzyła na grudiowej nowojorskiej ulicy.

Bliskość Jacka działała na nią nieodparcie, jak zawsze. Larissa zapragnęła utonąć w jego ramionach, poczuć znów smak jego pocałunków, zakosztować cudownych pieszczot. Pożądała go mocniej, niż potrafiła to przyznać nawet przed sobą.

Przypomniała sobie jednak trzeźwo, że nigdy nie będzie go miała. Nie była już bowiem tamtą dawną płytką i skłoną do autodestrukcji osobą, gotową zaakceptować związek z mężczyzną, który nią gardzi, byle tylko zapełnić pustkę ziejącą w jej życiu.

- Zaproś mnie na górę - rzekł władcym tonem.

Dostrzegła zmysłowy błysk w jego oczach. Dobrze wiedziała, o co mu chodzi, i zareagowała dreszczem bezradnego pożądania.

- Nie wydaje mi się, żeby to było rozsądne - odparła po długiej chwili, niezdolna oderwać od niego wzroku.

Musiała za wszelką cenę uniknąć wielkiego błędu, który raz już popełniła na wyspie Maine.

- A kiedy cokolwiek między nami było rozsądne? - rzucił z szelmowskim uśmiechem.

Lecz Larissa naprawdę się zmieniła. Pomyślała, że jeśli chce zachować szacunek dla samej siebie, musi odmówić Jackowi, chociaż gorąco pragnęła zatracić się w rozkoszy z tym mężczyzną, który, jak się obawiała, nieodwołalnie zrujnował jej życie.

Który nawet teraz łamał jej serce.

- Przykro mi - powiedziała, starając się, by głos jej nie zadrżał, i ruszyła do wind. - Nie mogę tego zrobić. Jestem zmęczona. Mam za sobą ciężki tydzień, a jutro rano muszę przetrwać zebranie zarządu firmy Whitney Media.

- Zaczekaj - rzekł i po chwili dodał: - Proszę.

Odwróciła się z powrotem do niego, zaskoczona tym słowem. Zdradzieckie serce zabiło mocniej i poczuła absurdalną nadzieję.

- Przejdźmy się razem. Wstąpmy gdzieś na drinka - zaproponował. Gdyby chodziło o kogoś innego, uznałaby, że w jego głosie zabrzmiała desperacja. Uśmiechnął się lekko.

- W miejscu publicznym będziesz całkowicie bezpieczna, prawda?

Ale Larissa wiedziała, że w towarzystwie Jacka nigdy i nigdzie nie będzie bezpieczna, ponieważ pragnie czegoś, czego on nie może jej dać.

Podeszła bliżej, tłumiąc bolesną tęsknotę. Usłyszała, że odetchnął gwałtownie, gdy pocałowała go w policzek. Na moment zamknęła oczy i poczuła jego kuszący męski zapach. Zmusiła się jednak, by się cofnąć.

- Żegnaj, Jack - wyszeptała.

Lecz on delikatnie ujął ją za ramiona. Tym razem nie zamierzał pozwolić jej odejść.

- Jak mogę poznać prawdziwą siebie, skoro ciągle uciekasz i się ukrywasz? - rzucił porywczo.

Wpatrzyła się w niego wielkimi oczami, jakby na całym świecie nie istniał nikt inny. Jak może aż tak bardzo kochać tego mężczyznę, skoro wie z niezbitą pewnością, że on ją zniszczy?

- Mógłbyś nauczyć się widzieć mnie, a nie swoje uprzedzenia - odrzekła, starając się przybrać lekki ton.

- A więc pokaż mi siebie - szepnął.

Larissa nadal była wobec niego bezbronna i kochała go. Wiedziała, że przez to sprowadzi na siebie zgubę, lecz nic nie mogła na to poradzić. Pomyślała, że czym innym jest niechcący ulec urokowi Jacka, a czym innym uczynić to z wyboru, świadomie podjąc błędną decyzję.

Ale właśnie to wciąż robiła. Słuchała głupiego serca zamiast głosu rozsądku.

- Dobrze - odpowiedziała spontanicznie.

- Zgadzasz się? - spytał z niedowierzaniem, lecz w jego oczach już zamigotał błysk męskiego triumfu.

Mocno, niemal konwulsyjnie zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Możesz wejść na górę - rzekła z prostotą. W tym momencie niczego nie udawała i nie ukrywała swoich uczuć. - Ale nie będziesz mógł zostać.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nazajutrz rano Larissa pomyślała, że nie potrafi uwierzyć, że popełniła błąd. Starannie umalowała usta i przejrzała się krytycznie w lustrze luksusowej łazienki w siedzibie koncernu Whitney Media.

Choć, naturalnie, to był błąd.

Mimo woli zamknęła oczy i poczuła zmysłowy dreszcz, wspomniawszy ubiegłą upojną noc z Jackiem. Gdy tylko weszli do jej mieszkania, od razu zaczęli się kochać na grubym perskim dywanie w holu. Potem zaprowadziła go do sypialni z widokiem na Central Park. Pamiętała, że krzyczała jego imię, ogarnięta płomieniem niepohamowanej namiętności.

Teraz uśmiechnęła się żałośnie do swojego odbicia w lustrze. Dlaczego nie potrafi odegnąć tych wspomnień? Dlaczego jej ciało nieustannie ją zdradza? Dlaczego tak rozpaczliwie pokochała mężczyznę, który najboleśniej ją rani?

Poprawiła fryzurę i upewniła się, że makijaż nadaje jej wygląd poważnej kobiety biznesu, a nie bywalczyni skandalicznych imprez. To samo dotyczyło ubioru - długiej, wąskiej ciemnobrązowej spódnicy, kremowobiałej bluzki i pantofli na wysokim obcasie.

Wiedziała jednak, że większość ludzi zobaczy ją taką, jakiej się spodziewa. Prawdę mówiąc, liczyła na to.

- Dlaczego zamierzasz iść na to zebranie zarządu Whitney Media? - zapytał ją Jack zeszłej nocy, kiedy zaspokojeni leżeli razem w łóżku. - Sądziłem, że takie spotkania cię nudzą.

Chciała, jak zwykle w takich wypadkach, odpowiedzieć wymijająco lub zmienić temat, ale się rozmyśliła. W pytaniu Jacka nie zabrzmiało oskarżenie ani drwina, lecz troska.

- Nie wiem, czy takie zebranie mnie znudzi - odrzekła cicho. - Właściwie dotąd jeszcze w żadnym nie uczestniczyłam. Ojciec i Theo traktowali mnie protekcyjnie i sami załatwiali wszystkie sprawy firmy. - Roześmiała się. - Oczywiście to nie znaczy, że interesowałam się tymi kwestiami. Byłam zadowolona, że nie muszę się tym wszystkim zajmować.



Poczuła, że Jack przysunął się do niej bliżej. Zastanawiała się, czy on rzeczywiście pragnie poznać ją taką, jaka jest naprawdę, zajrzeć pod jej maskę. Będąc z nim tak blisko, tak intymnie, czuła się spokojna, bezpieczna, ufna.

A może to tylko jej złudzenia?

- Ojciec chce, żebym przepisała na niego wszystkie swoje udziały w Whitney Media. - Zaśmiała się nieszczerze. - Zamierza w ten sposób ostatecznie zerwać wszelkie więzi między nami. Ma na punkcie firmy istną obsesję.

Jack westchnął i Larissa przygotowała się na jego kolejną napastliwą krytykę, kolejny słowny atak, który jak zwykle ją zrani. Lecz on zamiast tego odwrócił się do niej, wsparł się na łokciu i powiedział cicho:

- Widziałem się z moim ojcem w Święto Dziękczynienia. To głównie z jego powodu nienawidzę świąt. - Z roztargnieniem odgarnął jej włosy z czoła. - W przerwach między zwykłymi kazaniem dziadka siedziałem i patrzyłem, jak ojciec wyłopał cały zapas whisky w domu, a potem obmacywał przy stole swoją młodą żonę, jeszcze niemal nastolatkę. - Jack wydał dźwięk zanadto pełen gorczy, by mógł być śmiechem. - Prawdę mówiąc, wątpię, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z mojego istnienia, a tym bardziej czy pamięta o łączącej nas więzi, którą można by zerwać.

W piersi Larissy zaczęło narastać jakieś potężne, głębokie uczucie. Nie mogła odebrać wzroku od Jacka. Zapragnęła wtulić się w niego i pozostać tak, dopóki nie znikną wszystkie skomplikowane bolesne i raniące sprawy. Jakby on miał moc, by to sprawić.

- I co zrobisz? - zapytał cicho.

Odnosi się do mnie z szacunkiem, pomyślała, i tym razem nie zaprzeczył jej żaden sceptyczny wewnętrzny głos. Lecz wciąż nie potrafiła w pełni zaufać temu mężczyźnie, nie potrafiła po prostu go kochać i wierzyć, że zawsze ją wesprze, chociaż rozpaczliwie tego pragnęła.

To pragnienie przerażało ją, gdyż dotychczas zawsze szła przez życie sama. A mimo to pragnęła tego. Pragnęła Jacka.

Jednak zbyt wiele razy już cierpiała z powodu swoich pragnień. Wprawdzie uświadomiła sobie własne wady i błędy i zmieniała się na lepsze, ale to nie znaczy, że zaufanie Jackowi Suttonowi nie byłoby z jej strony najgorszym rodzajem naiwności.

- Wiadomo powszechnie, że Larissa Whitney nie interesuje się sprawami firmy - powiedziała więc tylko, może nieco zbyt szorstko. - Jest na to zanadto lekkomyślna i zapewne też zbyt głupia. Tylko by przeszkadzała.

- Larissa. Whitney ukończyła jeden z najlepszych amerykańskich uniwersytetów, a poza tym jest spadkobierczynią wielowiekowej świetnej rodzinnej tradycji - zaproponował Jack. - Myślę, że sobie poradzi.

Zamierzała dziś trzymać się kurczowo tej jego opinii. Jack uważa, że sobie poradzę. Ta myśl napełniła ją ciepłym poczuciem szczęścia, chociaż powtarzała sobie, że rzucił te słowa mimochodem i nie powinna brać ich serio, gdyż to nie znaczy, że przestał nią gardzić.

Wyszła z toalety i ruszyła korytarzem wyłożonym grubym puszystym dywanem. Piętro mieszczące gabinety dyrektorów było urządzone z imponującym przepychem. Bezcenne obrazy na ścianach świadczyły zarówno o wspaniałym dziedzictwie rodziny Whitneyów, jak też o długiej i bogatej historii koncernu Whitney Media, działającego w dziedzinie prasy, filmu i telewizji.

Larissa była tu niezliczoną ilość razy, poczynając od wczesnego dzieciństwa. Jednak po raz pierwszy znalazła się tutaj nie jako bierny obserwator, lecz osoba zamierzająca wywrzeć wpływ na bieg spraw firmy - i to się jej spodobało.

Zerknęła na swój płaski złoty zegarek i skonstatowała z zadowoleniem, że zjawiła się dokładnie o czasie. Uśmiechnęła się uprzejmie do sekretarki, przystanęła przed drzwiami sali konferencyjnej i wzięła głęboki oddech, aby opanować nerwy i przygotować się do starcia. Przypomniła sobie pieszczoty Jacka, tak czułe, jakby niemal były wyrazem miłości. Niemal... Wspomniała brzmienie jego głosu, gdy jej mówił, by zażądała tego, co jej się prawnie należy, ośmielając ją i napełniając pewnością siebie.

Potrafię tego dokonać, pomyślała. Naprawdę sobie poradzę.

Pchnęła ciężkie podwójne drzwi i niespiesznym krokiem weszła do środka.

W sali unosiła się woń testosteronu. Zasiadali tu bogaci mężczyźni z Wall Street w eleganckich garniturach i szytych ręcznie włoskich butach wartych czterdzieści tysięcy dolarów, roztaczający aurę nieskrywanego głębokiego zadowolenia z samych siebie. Co-

dziennie przed porą popołudniowej herbaty bez zmrużenia okiem zbijali lub tracili fortuny innych ludzi na rozmaitych rynkach giełdowych. Larissa rozejrzała się i skonstatowała, że jest jedyną kobietą, w dodatku młodszą o kilkadziesiąt lat od każdego z nich. To zaskoczyło ją nie bardziej niż znajomy wyraz dezaprobaty na twarzy ojca - czyli wcale.

- Witam panów - powiedziała. Błysnęła swym słynnym uśmiechem i usiadła przy stole w jedynym wolnym fotelu. - Mam nadzieję, że nie kazałam wam na siebie czekać.

Usłyszała w odpowiedzi kilka niechętnych mruknięć. Znała aż nazbyt dobrze niemal wszystkich zgromadzonych w sali i przerażali ją nieporównanie mniej niż dawniej zgraja obrzydliwych paparazzich, czyhających na nią z aparatami fotograficznymi naza-jutrz rano po jakimś kolejnym głośnym skandalu. Nie zależało jej na życzliwości tych ludzi i w ogóle się nimi nie przejmowała.

- Spóźniłaś się pięć minut - stwierdził Bradford swym zwykłym zręczliwym tonem. - Ale nie będziemy robić z tego problemu. Dokumenty są już przygotowane i musisz je tylko podpisać.

Wskazał złowrogą stertę papierów przed nią. Larissa przekartkowała kilka stron. Zdumiał ją pokrętny język dokumentów. Podobnie jak słowa Bradforda, były tylko bełkotem mającym zamaskować właściwą nieprzyjemną istotę rzeczy.

- Obecnie posiadam pakiet kontrolny akcji firmy Whitney Media, nieprawdaż? - zapytała.

Zapadła pełna napięcia cisza. Zebrani popatrzyli po sobie nawzajem, zszokowani nieoczekiwaną zuchwałością Larissy. A tymczasem ona świetnie się bawiła.

- Po prostu podpisz te dokumenty - warknął Bradford. - Mamy tutaj jeszcze ważne sprawy do załatwienia.

- Pięćdziesiąt jeden procent, jeśli się nie mylę - ciągnęła, ignorując go. Rozparła się w fotelu. - Czy może pięćdziesiąt dwa? Theo, zanim odszedł, przepisał na mnie swoje udziały. To naprawdę miły gest, zważywszy na nasze zerwane zaręczyny.

- O co ci chodzi? - zapytał szorstko jeden z mężczyzn.

Larissa wiedziała, że kieruje on kilkoma funduszami ubezpieczeniowymi, jest właścicielem sporej części dolnego Manhattanu i budzi niemały respekt w kręgach finansje-

ry. Lecz nie bała się go. Skupiła spojrzenie na ojcu, który poczerwieniał i spiorunował ją wzrokiem.

- Ani trochę nie interesują mnie twoje gierki - oświadczył chłodno.

Larissa tylko się uśmiechnęła.

- Ciekawe, że poświęciłaś tej firmie wszystko swój czas, energię i uczucia, jednakże nigdy nie pomyślałaś o zabezpieczeniu jej przyszłości - rzekła swobodnym tonem, który niewątpliwie stanowił dla tych mężczyzn obrazę równie wielką, jak jej odmowa zrzeczenia się jednym podpisem należnych jej praw. - To niezbyt rozsądne, prawda, tato?

- Nasze plany na przyszłość były związane z Theo Garcia, a to przez ciebie on odszedł z firmy - burknął Bradford. - Ale to cię zapewne ani trochę nie obeszło. O co ci chodzi? Paparazzi przestali cię zauważać? Postaraj się więc o jakiś nowy skandal, ale przestań marnować nasz czas.

- Trudno to nazwać marnowaniem czasu - odparła, wciąż się uśmiechając. Powiodła wyzywającym wzrokiem po zgromadzonych. - To zebranie zarządu, a ja jestem większościami udziałowcem. Moi prawnicy poinformowali mnie, że wewnętrzne przepisy firmy wymagają, aby większościami udziałowiec zasiadał w zarządzie. Oto więc jestem, do waszych usług.

Spokojnie zignorowała coraz głośniejsze mamrotania i przyglądała się ojcu. Była pewna, że gdyby mógł, udusiłby ją. Przynajmniej nie był już taki chłodny i opanowany, jakim go zwykle znała. Teraz targai nim gniew. Uświadomiła sobie, że ten człowiek nareszcie ma coś do stracenia.

Nigdy nie troszczył się o córkę, natomiast firma była dla niego wszystkim. Ta myśl zabolęła, ale odsunęła ją od siebie. Bradford nie jest godzien, by przez niego cierpieć.

- Od wielu lat głosowałam na zebraniach zarządu poprzez pełnomocnika - rzucił, kipiąc z wściekłości i zaciskając pięści. - Nie możesz oczekiwać, że teraz, gdy z jakiegoś przewrotnego powodu zdecydowałam się to zmienić, ktokolwiek potraktuje cię poważnie.

Jej uśmiech Mony Lisy stał się jeszcze wyraźniejszy. Niedbale rozparła się w fotelu, co doprowadziło Bradforda do krańcowej furii.

- Nie będę już dłużej potrzebowała pełnomocnika - oznajmiła.

- Pozostaje jeszcze drobna kwestia twojej wstrętnej i kłopotliwej złej sławy. - Bradford przypuścił frontalny atak i Larissa zmusiła się, by zachować spokój. - Nie pasujesz tutaj. Nie nadajesz się do niczego, a już z pewnością nie do tego, by zasiadać w zarządzie koncernu Whitney Media.

Zobaczyła w jego oczach triumfalny błysk. Niewątpliwie sądził, że już zwyciężył.

- W takim razie ogromnie szkoda, że w statucie tej firmy nie ma żadnej klauzuli na temat moralności. Żadnej uwagi dotyczącej niestosownego zachowania czy skandali. Niestety, nie ma nawet jednego zdania w rodzaju: „Zła sława odbiera prawo zajmowania należnego miejsca w zarządzie”. - Uśmiech Larissy stał się chłodniejszy. - Oczywiście, istnienie takiej klauzuli zdyskwalifikowałoby cały zarząd.

- Podpisz te cholerne papiery! - warknął Bradford.

Miała wrażenie, jakby wszyscy pozostali zniknęli. Był tylko ojciec, który zawsze rzucał złowrogi, przytłaczający cień na całe jej życie. Ale to należało już do przeszłości, a teraz chodziło o jej przyszłość i Larissa chciała sama o niej decydować.

- Nie - odparła z mocą. Upajała się tą chwilą, jako pierwszym krokiem ku swojemu nowemu, lepszemu życiu. - Przykro mi, tato, ale nie podpiszę tego.

Kolejny wieczór i kolejna gala na cele dobroczynne.

Jack zdołał powściągnąć znudzoną minę, gdy posłusznie stał obok dziadka na rzęście oświetlonym zewnętrznym tarasie Muzeum Nowojorskiego przy Piątej Alei. Szacowna gospodyni, Madeleine Doremus Waldorf, słynęła z urządzania ekstrawaganckich imprez, takich właśnie jak to przyjęcie na dworze w środku zimy. Jednakże taras ogrzano dostatecznie, by młodsze kobiety mogły wystąpić w kreacjach z odsłoniętymi ramionami.

Ale Jack nie myślał o tym wszystkim, tylko o Larissie Whitney. Wiedział, że miała się tu dziś zjawić, lecz nigdzie jej nie dostrzegł. Wciąż nie całkiem pojmował, dlaczego ubiegłej nocy wyszedł z jej mieszkania, zostawiając ją śpiącą, nagą i nadzwyczaj ponętą. W istocie pragnął zostać, lecz postanowił dotrzymać danej jej obietnicy.

- Nie rozumiem, jak wariackie sterczenie w grudniu na dworze ma zwiększyć wpływy z tej imprezy charytatywnej Madeleine - burknął zrzędliwie dziadek. - O wiele

bardziej prawdopodobne, że wszyscy pomrzemy z wyziębienia. - Mruknął pod nosem jeszcze coś jakby: „idiotka”, co jednak Jack postanowił taktownie zignorować.

Dzisiejszego wieczoru usiłował ignorować mnóstwo rzeczy, przede wszystkim swoje wysoce kłopotliwe i niepokojące uczucie do najbardziej nieodpowiedniej kobiety w Nowym Jorku. Prawdę mówiąc, czynił to już od pięciu lat. Ignorował też nieuniknioną obecność ojca, który stał w odległości kilku metrów i robił z siebie durnia przy swojej jeszcze niemal nieletniej żonie. W tym Jack brał przykład z dziadka, który od ponad czterdziestu lat wyniośle nie zauważał swego zięcia.

- Wesołych i szczęśliwych świąt, dziadku - rzucił, starając się nieudolnie, by zabrzmiało to szczerze.

Starzec zmierzył go niezmiennie krytycznym, chłodnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybym mógł umrzeć w spokoju, wiedząc, że linia rodziny nie skończy się na tobie - odparł, gniewnie ściągając brwi. - Lecz ty najwyraźniej wolisz zrażać do siebie każdą majątną pannę na Manhattanie, zamiast dorosnąć do swoich obowiązków.

Jack potrząsnął głową. Ta rozmowa nużyła go, jak zawsze. W tym momencie kątem oka spostrzegł Larissę, która przystanęła w drzwiach wejściowych, otoczona grupą rówieśniczek z najlepszych rodzin. Rozmawiała z nimi swobodnie, mając na sobie doskonale dopasowaną suknię w kolorze fuksji i lśniąca biżuterię. Zresztą sama zdawała się roztaczać oślepiający blask, niczym wysmukła latarnia morska. Wyglądała pięknie i Jack nie mógł oderwać od niej oczu.

Uświadomił sobie, że prawdopodobnie na zawsze ją utracił, i ta myśl przejęła go panicznym lękiem.

- Już na pierwszy rzut oka widać, że ta dziewczyna to nic dobrego - orzekł dziadek z pogardliwym prychnięciem, świdrując Larissę przenikliwym wzrokiem.

- Przecież jej nie znasz - zaoponował ostro Jack. - Nic o niej nie wiesz.

- Wystarczy na nią spojrzeć - rzekł z uporem starzec. - Jest tak samo wyzbyta poczucia moralności jak ten nicpoń twój ojciec. Dobrze ci radzę, młody człowieku, znajdź sobie inny obiekt fascynacji.



W tym momencie w Jacku jakby coś pękło, a potem nagle jego umysł i zmysły zyskały nadzwyczajną jasność. Popatrzył na charakterystyczny surowy grymas na twarzy dziadka, a potem ponownie odszukał wzrokiem Larissę. Spostrzegł, że znów przyczepił się do niej Chip van Housen. Słuchała go z wymuszonym, sztucznym uśmiechem. Uświadomił sobie, że wszyscy ci ludzie wokół, którzy otwarcie krytykują Larissę, a do niego samego odnoszą się z przesadnym szacunkiem i schlebiają mu, w istocie wcale nie znają ich obojga. Poczul, że dłużej tego nie znieśie.

- Dość tego - powiedział niezbyt głośno, ale stanowczo.

Poczul, że rozwiewa się w nim zastarzałe poczucie winy, żal, a także wstyd z powodu ojca. Wszystkie te splątane uczucia nosił w sobie od tak dawna, że stały się jakby jego drugą, fantomową naturą.

Pochwycił zaskoczone spojrzenie dziadka.

- Co takiego? - zapytał dziadek, choć niewątpliwie doskonale go usłyszał.

- Przykro mi, dziadku - powiedział szczerze Jack. - Z powodu tego, że nie jestem wnukiem, jakiego pragnąłeś mieć, i tego, że cokolwiek zrobię, nie zmieni to twojego krytycznego stosunku do mnie. Gdy patrzę na mojego ojca, trudno mi nawet cię o to winić. - Potrząsnął głową. - Ale nie mogę ani nie chcę już dłużej za to pokutować.

- Chodzi ci o tę dziewczynę Whitneyów? - spytał starzec z niedowierzaniem i zgrozą. - Dlaczego miałbyś chcieć się związać z taką ladacznicą?

- To moja sprawa, czego chcę - odparł Jack spokojnym głosem, w którym jednak dźwięczała stalowa nuta. - Przez lata byłem ci posłuszny z szacunku i poczucia lojalności, lecz ty wciąż miałeś mnie za nic. Mam już dość zachowywania się jak potulny, zastraszony uczeń, którego nieustannie sztorcujesz.

- Jack... - zaczął dziadek, marszcząc brwi.

- Naprawdę żałuję, że mnie nienawidzisz - powiedział Jack cicho. - Ale nie mogę dłużej pozwolić, by ten żal rządził moim życiem. Nie potrafię zmienić twoich uczuć do mnie i znużyły mnie już moje daremne próby. Czy ci się to podoba, czy nie, jestem dzieckiem rodu Endicott i będziesz musiał mi zaufać.

Stary człowiek wpatrywał się w niego przez długą, zda się, niekończącą się chwilę. W tle Jack słyszał grający zespół taneczny, cichy gwar kulturalnych głosów i pijacki

śmiej ojca. Wiedział, że cokolwiek się zdarzy, nie będzie żałował tych swoich słów, choć przykro mu było ranić dziadka. I tak wypowiedział je o wiele za późno.

- Nie darzę cię nienawiścią - oświadczył dziadek głosem odmiennym niż zwykle, brzmiącym teraz naprawdę jak głos osiemdziesięcioletniego starca. - Po prostu tęsknię za nią.

Jack wiedział, że mówił o jego wspaniałej matce, Laurel Endicott Sutton.

- Ja też za nią tęsknię, dziadku - rzekł szorstko. - Zawsze będę tęsknił.

- Wiem - powiedział starzec.

I wtedy Jack zrozumiał wiele rzeczy, które już od dawna powinny być dla niego jasne. Pojął, że był kolosalnym idiotą, ślepym zarówno na swoją relację z dziadkiem, jak i z Larissą. Być może to klątwa rodu Endicottów, pomyślał. Niezdolność zobaczenia najbardziej oczywistych prawd.

Objął ramieniem plecy dziadka i po raz pierwszy zauważył, jak bardzo ten stary człowiek jest drobny i kruchy.

Wiedział, że nie zdoła zmienić przeszłości, nieporozumień, zranionej dumy, lekomyślnego rozpasania swej młodości. Ale może zmienić przyszłość.

I uczyni to.

- Poradzimy sobie, dziadku - powiedział i te słowa zadźwięczały mocno jak dzwon.

Chip van Housen nigdy nie przyjmował do wiadomości odmowy.

Larissa z przyklejonym trwale do twarzy uśmiechem starała się udawać, że nigdy w życiu nie bawiła się lepiej niż teraz, tańcząc walca z tym obleśnym mężczyzną.

- Nie możesz wiecznie mnie ignorować, Larisso - powiedział, zionąc alkoholem i wlepiając w nią wodniste, przekrwione oczy.

Z odrazą zastanowiła się nie po raz pierwszy, dlaczego spędzała z tym osobnikiem aż tyle czasu. Zapewne z powodu swej skłonności do autodestrukcji.

Noc była piękna, ale rześka i chłodna. Latarnie i lampy grzewcze na dziedzińcu muzeum promieniowały światłem i ciepłem, wyczarowując odrobinę lata w środku zimy. Gdyby Larissa potrafiła zapomnieć, kto lubieżnie przywiera do niej w tańcu, mogłaby nawet poczuć coś zbliżonego do radości.

Lecz Chip był nachalny i kiedy po raz trzeci usiłował pocałować ją swymi miękkimi, wstrętne wilgotnymi wargami, uznała, że ma już tego dosyć i odsunęła się gwałtownie.

- Nie możesz tak po prostu mnie zostawić! - warknął.

Złapał ją za ramię, ale mu się wyrwała. Miała nadzieję, że w tym odległym kącie sali niewiele osób zauważyło ten incydent, bo ostatnio starała się unikać podobnych scen.

- Właśnie to zrobiłam - powiedziała spokojnie. - Nie chcę z tobą tańczyć. Robiłam to tylko z uprzejmości, ale straciłam już ochotę na bycie uprzejmą.

- Nie odmówisz mi - rzucił i parsknął wstrętnym śmiechem, który przejął ją dreszczem lęku. Podszedł bliżej z pogardliwym grymasem na twarzy. - W co ty ze mną grasz?

Wyprostowała się, udając śmiałość, choć w duchu zmartwiała ze strachu. Wprawdzie niedawno przeciwstawiła się ojcu, ale teraz musiała stawić czoło człowiekowi będącemu uosobieniem jej najgorszej przeszłości.

- Powiem wprost, Chip - rzekła głosem, który tylko z pozoru brzmiał przyjaźnie. - Masz mnie zostawić w spokoju.

- Nie mów mi, co mam robić - wycedził, napierając na nią.

- Przestań - powiedziała wciąż tym samym opanowanym tonem, choć wiele ją to kosztowało. - Nie jestem już taka jak dawniej, więc znajdź sobie kogoś innego do swoich odrażających rozrywek.

Gapił się na nią przez chwilę i Larissa uświadomiła sobie, że nienawidzi goi zawsze nienawidziła. Stanowił skuteczne narzędzie jej samozniszczenia. Dlaczego wcześniej tego nie pojmowała?

- Patrzcie no! - parsknął szyderczo. - Miejska dziwka przebrana za uczciwą kobietę z towarzystwa. Kogo chcesz nabrać? Nikt na tym przyjęciu i w ogóle w całym mieście nigdy nie zapomni, kim naprawdę jesteś. Jak myślisz, kiedy skończysz w najbliższym rynsztoku?

Zachwiała się, gdy zalała ją potężna fala wstydu i zgrozy. Zrozumiała, że on ma rację. Wiedziała, że jeśli się rozejrzy, zobaczy, że wszyscy się z niej śmieją. Wyśmiewają jej naiwne złudzenia, że kiedykolwiek mogłaby się zmienić. Miała wrażenie, jakby cała jej wielomiesięczna praca nad sobą poszła na marne. Ogarnęły ją mdłości.

Opanowała się jednak. Pomyślała, że z nich dwojga to ona jest coś warta, a nie ten obmierzły łajdak wystrojony w elegancki smoking, a w środku obrzydliwy.

- Wyobrażasz sobie, że kim jesteś? - rzucił drwiąco.

W tym momencie pojęła, że nie obchodzi ją, co Chip van Housen - lub ktokolwiek inny - o niej myśli. Ona sama już zdecydowała o sobie.

- Jestem Larissą Whitney - odparła dumnie.

Odwróciła się od osłupiałego van Housena... i wpadła prosto na Jacka.

Jak długo już tam stał? - pomyślała z przerażeniem. - Czy był świadkiem całej tej wstrętnej sceny?

TLR

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Larissa zapragnęła ze wstydu umrzeć lub zapaść się pod ziemię. Oto człowiek, którego kocha i na którego opinii zależy jej najbardziej na świecie, prawdopodobnie słyszał wszystkie te ohydne kalumnie Chipa van Housena. Poczowała się zbrukana.

Zakręciło jej się w głowie i musiała odetchnąć głęboko, żeby nie upaść zemdlona. Jack ujął ją za ramię i podtrzymał. Wpatrzyła się z rozpaczą w jego urodziwą twarz. Co z tego, że zmieniła swoje życie, pokonała ojca i przejęła prawowitą schedę, skoro nie może mieć tego mężczyzny? Starła się ze wszystkich sił nie rozpłakać, chcąc ocalić przynajmniej resztki godności.

- Wygląda, że jednak miałeś co do mnie rację - rzekła drżącym głosem. Zmusiła się do uśmiechu, który jednak bardziej przypominał grymas. - Powinieneś się czuć usatysfakcjonowany.

Długo wpatrywał się w nią w milczeniu, jakby usiłował odgadnąć ukryty sens jej słów. Potem spojrzał na Chipa i lekko ścisnął jej nagie ramię. Znów popatrzył na nią i uśmiechnął się pogodnie, uroczo.

- Zatańcz ze mną - poprosił.

Zamrugała oszołomiona i kompletnie zaskoczona.

- Zatańczyć z tobą? - powtórzyła, czując jednocześnie znużenie i przyływ rado-snej energii.

- Jestem świetnym tancerzem - zapewnił ją z galanterią.

I wtedy wreszcie pojęła z ulgą, że robił to celowo. Potraktowanie jej z szacunkiem było o wiele większym upokorzeniem Chipa van Housena niż spoliczkowanie go. Nie rozumiała tylko, dlaczego Jack zadaje sobie dla niej tyle trudu.

Pozwoliła, żeby zaprowadził ją na parkiet i objął. Gdy spojrzała na niego, odniosła wrażenie, że świat wokół niej zawirował. Zakręciło jej się w głowie i musiała odwrócić wzrok, by nie stracić równowagi.

Widziała zgromadzone na dziedzińcu wszystkie słynne i bogate nowojorskie rodzi-ny. Ona i Jack należeli do tego środowiska, wywodzili się z niego. A jednak nagle całą

swą udręczoną duszą zatęskniła za tamtym starym domem ukrytym na samotnym wzgórzu na odległej wyspie, gdzie oboje przynajmniej przez krótki czas mogli być sobą.

Położyła dłoń na muskularnym ramieniu Jacka, gdy prowadził ją nienagannie w walcu. Jego dłoń na jej plecach zdawała się palić ją ogniem, naznaczać.

Ogarnęło ją znowu pożądanie, które tylko ten jeden mężczyzna potrafił w niej wzbudzić. A jednak wciąż słyszała echo wstrętnych słów Chipa, wciąż czuła się zbrukana i zrozpaczona. Cierpiała będąc tak blisko Jacka, a zarazem wiedząc, że w rzeczywistości dzielą ich od siebie lata świetlne.

Wiedziała, że to ich pożegnanie. Widzą się po raz ostatni. Jack usłucha woli dziadka i ożeni się z odpowiednią dla siebie dziewczyną. Zawsze wypełniał swoje obowiązki. W pewnym sensie nawet go za to podziwiała, choć jednocześnie czuła się zdruzgotana jego decyzją.

- Miło z twojej strony, że to dla mnie robisz - rzekła, unikając jego wzroku. - Nie miałam pojęcia, że jesteś zdolny aż do takiego poświęcenia. Wyrażam ci wdzięczność w imieniu wszystkich upadłych kobiet z nowojorskich wyższych sfer.

Spojrzał jej w oczy. Poczwała suchość w ustach, a serce zabiło jej mocno.

- Jak myślisz, o co mi naprawdę chodzi? - zapytał łagodnym, niemal pobłażliwym tonem.

- Nie mam pojęcia - wyjąkała.

- Domyśl się. Rusz swoim wspaniałym mózgiem, którego użyłaś wczoraj, żeby udaremnić nieczne plany ojca.

Przez chwilę sprawiło jej przyjemność, że się o tym dowiedział. Potem powróciło niemiłe poczucie rzeczywistości.

- Nie powinieneś irytować dziadka, tańcząc ze mną - rzekła cicho. - Jest tu niewątpliwie całe stado odpowiednich kandydatek na twoją żonę.

Przyciągnął ją w tańcu bliżej... zbyt blisko.

Larissa wbrew sobie utonęła w jego pięknych oczach.

- Nie chcę żadnej z nich - powiedział łagodnie, lecz stanowczo. - Chcę ciebie.

- Wcale nie - odparła z lekką urazą.



- Dowiodłem tego wielokrotnie - powiedział. - Jestem głęboko rozczarowany, że to uszło twojej uwagi.

- Mówisz o seksie - rzekła łamiącym się głosem. - Bo przecież tylko o to ci chodziło.

- Larisso...

- Gardzisz mną - powiedziała już opanowanym tonem, patrząc mu prosto w oczy. - Uważasz mnie za nędzną dziwkę.

Te słowa zawisły pomiędzy nimi. I nagle Jack zobaczył ich wspólny pobyt na wyspie Maine z zupełnie odmiennej perspektywy. Z perspektywy Larissy.

Jeśli mówiła prawdę o powodach swojego zjawienia się tam - a Jack w głębi duszy coraz bardziej był tego pewien - to czyniło to z niego największego łajdaka wszech czasów.

Spojrzał w jej twarz ściągniętą cierpieniem, którego sam był przyczyną. Nie pojmował, dlaczego Larissa wciąż obejmuje go w tańcu, zamiast odepchnąć ze wstrętem.

- Nie gardzę tobą - powiedział z głębi serca. - Kocham cię.

Nie był pewien, czego się spodziewał. Tego, że orkiestra zagra hymn na jego cześć?

W oczach Larissy błysnęła irytacja.

- Jak to miło - mruknęła z jadowitym sarkazmem. - Twoim zdaniem to, oczywiście, wszystko naprawia. Wymazuje całą naszą mroczną przeszłość. Po prostu będę udawała, że nigdy jej nie było.

Jack zatrzymał się. Nie mógł kontynuować tej parodii tańca, skoro Larissa znów zamierzała od niego odejść - tym razem na dobre. Nie zwracał uwagi na ludzi wokół nich. Istniała tylko ta dziewczyna, która od tak dawna jest dla niego wszystkim.

Ujął ją za ramiona, jakby w obawie, że mogłaby uciec.

- Dureń ze mnie - powiedział wprost. - Jesteś jedyną kobietą, na której kiedykolwiek mi zależało.

- Jedyną, która cię porzuciła - weszła mu w słowo.

- Tak, wielokrotnie - przyznał. Spojrzał na nią. - A jednak wciąż nie mogę bez ciebie żyć. Myślę, że zakochałem się w tobie już przed pięcioma laty, kiedy spotkaliśmy się na tamtym przyjęciu.

- Nie masz pojęcia, czym jest miłość - rzuciła gniewnie.

- Wypróbuj mnie - zaproponował. Zobaczył, że oblała się rumieńcem, i nabrał nieco otuchy. Ujął jej dłonie i przycisnął do piersi. - Kocham cię, naprawdę. I obiecuję, że tego dowiodę. Tylko daj mi szansę.

Wpatrywała się w niego długo, zda się całą wieczność. Potem odetchnęła głęboko i rozejrzała się wokoło. Stali na środku parkietu tanecznego. Dostrzegła zaciekawione spojrzenia gości, usłyszała stłumione szepty. Zaczerwieniła się lekko i spojrzała z powrotem na Jacka.

- Robimy z siebie przedstawienie - syknęła, lecz w jej wzroku dostrzegł inną, prawdziwą Larissę, którą znał.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł bez troski.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, nie tamten zagadkowy, wykalkulowany, którego używała jako obrony, lecz szczery, swobodny... i piękny.

- Teraz tak mówisz - zakpiła. - Ale jeszcze nigdy nie zakosztowałeś przyjemności bycia przedmiotem złośliwych nowojorskich plotek, prawda?

- Dajmy więc ludziom coś, o czym naprawdę będą mogli poplotkować - zaproponował.

Wziął Larissę w ramiona. Usłyszał jej dźwięczny wesoły śmiech i pocałował ją na oczach całej elity towarzyskiej Manhattanu.

Jednego z pierwszych dni nowego roku Jack i Larissa kochali się namiętnie w szerokim łóżku na pierwszym piętrze rezydencji Scatteree Pines. Za oknami szalała śnieżna zamieć, ale w sypialni było przytulnie i ciepło. Zresztą i tak rozgrzałyby ich gorące pieczyoty. Larissa nigdy jeszcze nie czuła się tak cudownie bez troski i swobodnie.

- Kocham cię - wymamrotała sennie znacznie później, gdy już osiągnęli razem szczyt rozkoszy i leżeli wtuleni w siebie.

Jack pogładził ją leniwie po plecach.

- Będziesz musiała za mnie wyjść - powiedział z powagą.

Larissa pomyślała z radością, że pozostawili już za sobą mroczną przeszłość i teraz czeka ich jasna, promienna przyszłość.

- Tylko pod warunkiem że obiecasz mi jedną rzecz - odrzekła i zajrzała mu w oczy.

- Cokolwiek zechcesz - przyrzekł.

Zalała ją fala miłości do tego wspaniałego mężczyzny. Nie wyobrażała sobie, że można aż tak bardzo kochać i być kochaną.

- Chcę tradycyjnej, śmiertelnie nudnej ceremonii ślubnej - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Pełnego zestawu gości z nowojorskich wyższych sfer. Rockefellerów i Rooseveltów. Chcę mieć pięciomilowy tren i sześć tuzinów druzhen staranie wybranych spośród najlepszych rodzin.

Jack się roześmiał.

- Dlaczego miałabyś chcieć czegoś takiego? To brzmi jak koszmar.

- Nie chcę pozostawić nawet cienia wątpliwości - wyjaśniła. - Nie chcę, aby ktokolwiek pomyślał, że się pomyliłeś albo że skłoniłam cię do ślubu niecnymi sztuczkami.

- Ale przecież właśnie tak zrobiłaś - odrzekł i pocałował ją. - Już pięć lat temu. Odtąd straciłem dla ciebie głowę.

Larissa znów się uśmiechnęła.

- Chcę, żeby nasz ślub wyglądał tak, jak zawsze pragnął tego twój dziadek. Impozujące i oparte na zdrowych finansowych fundamentach połączenie dwóch świetnych amerykańskich rodów, jakiego oczekiwano, odkąd przyszliśmy na świat.

- To zupełnie nie w twoim stylu - powiedział, ujmując jej twarz w dłonie i wpatrując się w oczy. - Chcę poślubić ciebie, Larisę, a nie jakąś twoją zmyśloną, poprawioną wersję przeznaczoną na pokaz.

Wiedziała, że mówił serio.

- To będzie nasz ślubny prezent dla naszych rodzin - oznajmiła.

Wychyliła się poza skraj łóżka i przez chwilę macała pod nim na oślep, póki nie znalazła tego, czego szukała. Z kajdankami w ręku przeturlała się z powrotem do Jacka i uśmiechnęła się szelmowsko.

Przykuła jedną jego rękę do wezglowia łóżka, a potem powiodła dłońmi po musku-  
larnej piersi Jacka i dosiadła go.

- Ale małżeństwo... - szepnęła, gdy w nią wszedł - jest tylko dla nas.

Zaczęła poruszać się swobodnie, niespiesznie, a Jack podchwycił ten rytm, wciąż  
wpatrując jej się w oczy. Znów ogarnął ich zmysłowy ogień. Pociągnął kajdanki, które  
zadzwończyły o żelazną ramę łóżka. Roześmiał się, kiedy Larissa znieruchomiała, oparła  
dłonie na jego brzuchu i spojrzała na niego, jakby oczekiwała, że się poskarży.

- Mówiłem ci, że niczym nie zdołasz mnie zaszokować - rzekł z uroczym uśmie-  
chem i popatrzył na nią miłośnie, a potem wyzywająco uniósł brwi. - Ale zawsze możesz  
spróbować.

I Larissa tak właśnie zrobiła.

